Numer 17. Nałeż. poczt. opł. gotówką. Dnia 24 Kwietnia 1932



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

Jajka Wielkanocne.

Ksiądz Karol Żera, franciszkanin z XVIII wieku, notuje w swojem „Silva rerum", że za jego czasów istniał na Podlasiu zwyczaj zwany Wołoczebne, lub wykupne. Poddani, chodząc po Wołoczebnem zbierali w Wielkim Tygodniu po kilka jajek z chałupy i przynosili je w koszałce do dworu z powinszowaniem świąt dziedzicowi. Otóż gospodarze z pewnej wsi, idąc z koszałką pełną jaj, obrali sobie oratora, który nauczył ich, że gdy on będzie panu winszował, to oni niech jednogłośnie dodają do powinszowania jego zdanie:

„I jemości waszecinej i dziatkom waszecinym".

Orator tedy przyszedłszy do dworu i stanąwszy z koszałką jaj na czele gromady, zaczyna do pana tak mówić:

— My Boskie i waszecine sługi przyszliśmy świąt wielkanocnych waszeci powinszować.

Gromada: I jejmości waszecinej i dziatkom waszecinym.

Orator: Życzymy waszeci zdrowia i najdłuższych lat życia.

Gromada: I jejmości waszecinej i dziatkom waszecinym.

Orator: Niech Bóg błogosławi waszeci w polu i w gumnach, w oborze i w komorze...

Gromada: I jejmości waszecinej i dziatkom waszecinym.

Tu orator posunął się ku panu, chcąc wręczyć mu koszałkę z jajkami, a gromada ruszyła za nim, nie widząc, że odwiązała się u jego nogi tak zwana obora, czyli długi rzemyk, którym nad łapciem goleń się okręca. Gdy tedy ktoś z gromady nastąpił mu na ten rzemień, orator, jak długi, padł na ziemię z koszałką, wysypując i tłukąc wszystkie jajka. Więc zaklnie, podnosząc się z podłogi:

— A bodajże cię wszyscy djabli wzięli!

A gromada posłuszna jego nauce, dodała chórem:

— I jejmość waszeciną i dziatki waszecine!

Po raz ostatni opowiadał tę historyjkę w druku Zygmunt Gloger w roku 1900.

Niezrozumiała.

— Kasiu ,czy termometr idzie do góry?

— Nie może... Gwóźdź mu przeszkadza.

Cięta odpowiedź adwokata Majewskiego.

Był we Lwowie swego czasu — przed wojną to jeszcze się działo — adwokat Majewski, człowiek bardzo wzięty i wpływowy. Żaden większy interes nie mógł się obyć — bez niego. Szczególnie wiele miał on spraw miejscowej, galicyjskiej arystokracji, z którą był stąd w nader bliskich stosunkach — nawet towarzyskich.

Panowie potrochę pokpiwali z niego, ale potrzebowali go, naciągali, ale znosili, bo był zdolny i niezbędny.

Dla wielu stał się wprost totum fackim — niezastąpionym.

Raz był jakiś obiad u ówczesnego marszałka krajowego, Badeniego. Była na nim cała magnaterja — i był... mecenas Majewski.

Kiedy pod koniec biesiady po niejednym kielichu, humory były „różowe", języki swobodnie rozwiązane, a względy ceremonji zapomniane, zaczęło się dogadywanie wzajemne.

Aż i na Majewskiego zwrócono uwagę. Marszałek Badeni, biorąc kielich, taki palnął toast:

„Gdzie się bawią psy wielkie, są i małe pieski...

Wznoszę zdrowie! Niech żyje — mecenas Majewski!"

Śmiech gruchnął po sali, ale ledwie przebrzmiało — niezbity z tropu, nie zapomniający języka w gębie Majewski poprosił o głos i wznosząc kielich — tak odpalił:

„Na dowód jak pies mały psa wielkiego ceni;
Wznoszę zdrowie: niech żyje wielki pies Badeni!"

Numer 17. **Rok XV.** **Kraków, dnia 24 kwietnia 1932.**

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.

Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Nasze obywatelskie obowiązki.

Jeden raz tylko był raj na ziemi, ale podobno więcej go nie będzie. Słyszy się dziś ogólne narzekanie na biedę i nędzę, na ciężkie czasy i ogólny kryzys. Prawda, że nastały ciężkie czasy i ogólny kryzys. Prawda, że nastały ciężkie czasy, nietylko u nas, ale w całym świecie, ale i to prawda, że niejedno zło, niejedna bolączka nie miałaby dziś miejsca, gdyby wśród społeczeństwa, zwłaszcza wśród ludu zapanowało większe poczucie obywatelskie, sumienniejsze spełnianie swych obowiązków, życie oszczędniejsze i z wyrachowaniem. Słyszymy często po wsiach narzekania ludności na niedobór ludzi w radzie gminnej, sejmie, którzy nie potrafią odpowiedzieć swym obowiązkom, że to zgraja ludzi nieuczciwych, łapowników, szachrajów itp. A kto temu winien? Połóżmy rękę na sercu i powiedzmy sobie: „Moja wina!" Jakich bowiem ludzi sobie wybierzemy, takich mamy. Nie obdarzajmy w czas wyborów przy głosowaniu zaufaniem takich ludzi, którzy cieszą się nie najlepszą opinją, którym zależy na ogólnem dobru, na dobru państwa tyle, co na zeszłorocznej zimie, a którzy mają na oku tylko swe osobiste interesa.

Słychać skargi i narzekania, że pewne mniejszości narodowe bogacą się i wywłaszczają majątki ziemskie, wiejskie i miejskie, wielkie i małe. A któż temu winien? Znowu my sami. Majątki te nabywają one od nas za nasz własny grosz, który wyszedł z naszej kieszeni, bo omijamy w handlu, kupnie, rzemiośle swoich, a kupujemy u obcych, bo omijamy owe wzniosłe hasło: „Swój do swego!"

Gdyby wśród nas była większa solidarność, więcej poczucia obywatelskiego, więcej szacunku dla swoich i tego wszystkiego co nasze, nie byłoby tyle pasorzytów, tuczących się krwią naszą i pracą.

Pracowitość, sumienność, trzeźwość, oszczędność, to najprostsze drogi do zdobycia sobie szacunku. — Bądźmy sumiennemi w swym fachu i zawodzie. Jesteś robotnikiem, nie bądź leniwym do pracy, jesteś rolnikiem, ukochaj tę matkę-żywicielkę, wyciągnij z niej jak największe zyski, jesteś rzemieślnikiem, bądź punktualny, oddaj pracę dobrze wykończoną, na czas, a nie stracisz klienteli. Staraj się w oczach świata podnieść dobrą opinję polskiego rzemiosła.

Nie zapominajmy również i o obowiązkach ciążących na nas względem Państwa-Ojczyzny. Dbajmy o czystość naszej pięknej mowy ojczystej, zachowujmy obyczaje i zwyczaje naszych przodków. Nie żałujmy mimo ciężkich czasów grosza na cele oświatowe. Prenumerujmy czasopisma i tygodniki nie ziejące jadem nienawiści jednych ku drugim, pisma bezpartyjne, owiane duchem katolickim, do których i nasza kochana „Rola" należy. Znajdziemy w nich i naukę i rozrywkę. Trzymajmy się zdala od wrogów wiary i narodu, spełniajmy sumiennie nasze obowiązki, nałożone na nas względem Boga i Ojczyzny, bądźmy rzetelni i uczciwi, nie żyjmy nad stan, oszczędzajmy ile można, zastosujmy się do przysłowia: „Pamiętaj przychodzie, żyj z rozchodem w zgodzie", a natenczas nie przyniesiemy hańby naszej drogiej Ojczyźnie ni narodowi a również i u obcych zasłużymy sobie na szacunek taki, jaki należy się tym, którzy sumiennie i rzetelnie spełniają swe obywatelskie obowiązki.

Niech naród cały na programie życia swego wypisze i w czyn wprowadzi hasło: „Precz z alkoholem, rozpustą, pieniactwem, marnotrawstwem i karciarstwem", to natenczas dusza narodu zolbrzymieje, a w kościach, krwi i żyłach tego olbrzyma zabraknie strawy dla różnych pasorzytów.

Naszą lekkomyślność, bierność i gnuśność zastąpmy pracą, wytrwałością i zwartością, że się tak wyrażę wojenną, a wtedy i Pan Bóg nam dopomoże, że przetrzymamy nietylko obecne ciężkie czasy i utrzymamy to co posiadamy, ale potrafimy jeszcze i na szarą godzinę mimo wszystko coś odłożyć.

Piotr Wenc.

MIŁOSZ.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy).

Słychać tętent kopyt, widać już kurzu tumany — już z rykiem i krzykiem nadciąga Niemców kupa. Z hałasem okrążają chatę, a w chacie pusto. Tylko stoły nakryte zdradzają, że niedawno tu biesiadowano.

— Pochowało się to pogańskie plemię — krzyczeli Niemcy.

— Zbiegły psubraty.

Miłosza dłoń świerzbiała, ale przyczaił się na drzewie i liczył Niemców.

Tymczasem Niemcy, nie mając bić kogo, rozsiedli się w chacie i na podwórzu i zabrali się do miodów i jadła; konie puścili na pastwisko. Już siedzieli z godzinę, gdy nadciągnął ich tabor zdobyczny. Nadjechały wozy naładowane statkami złupionymi, a około wozów szli jeńcy, powiązani sznurami, płacząc i zawodząc; obok nich na koniach jechali knechty, popędzając słabszych biczem.

Gdy dojechali niedaleko Bojmirowej zagrody, stanął tabor, jeńców pod tynami rozłożono; upadli biedacy, jęcząc z bólu i głodu.

Niemcy naigrawali się z nieszczęśliwych i jak psom rzucali ogryzione kości i inne niedojadki, a kto głośniej jęknął, tego knecht po plecach smagał.

Najadłszy się do syta i napiwszy, rozprószyli się po komorach i szopach, szukając zdobyczy. Wyciągnęli wozy i ładowali na nie dobytek wszelki, co w chatach znaleźli.

Gdy tak plądrowali i klęli, że niewolników nie wezmą, wódz krzyknął:

— Szukajcie dobrze! te sklawy jak zwierz po norach się kryją; kto mi niewolnika znajdzie, dostanie dwie niedźwiedzie skóry.

Na to wezwanie stanął przed wodzem mały, rudy człowiek i rzekł:

— Ja mam niewolnika!

— Daj go tu! — zawołał wódz.

— Dwóch ludzi niech ze mną idą!

Skoczyły knechty — a rudy powiódł ich ku kryjówce, w której Bojmir znikł wraz z małym Czestmirem. Wzbraniali się iść knechty z początku, zasadzki się obawiając, lecz gdy rudy popełznął naprzód, poszli i inni, i wnet wyciągnął i siwobrodego starca i drżące ze strachu pacholę. Mały Czestmir łzami się zalewał. Stary Bojmir, choć wiedział, że go ciężka czeka dola, szedł śmiało. Stawiono ich przed wodzem.

— Za takich jeńców psia skóra zapłatą, a nie niedźwiedzia. Do czego się oni zdadzą? — wołano zewsząd. — Przypiec ich trochę, a wnet wyśpiewają, gdzie inni się skryli.

Wódz skinął, oprawcy rzucili się na Bojmira i smagać go poczęli, wołając:

— Szczekaj psie stary.

Ale Bojmir ani jęknął, zęby zaciął i milczał.

— Lepiej go — plecy obnażyć! — I rzuciła się cała zgraja parobków — obdarli z szat starego i nagie plecy skórzanymi pasami, nabitymi hakami, poczęli smagać. Skóra pasami oddzierała się od pleców, Bojmir syczał i jęczał z bólu, padł w końcu, ale swoich nie zdradził.

Gdy padał Bojmir stary — na drzewie jakiś głuchy jęk się ozwał, ale rozwścieklen Niemcy, krzycząc i klnąc, nie dosłyszeli tego jęku.

— Precz ze ścierwem — krzyknął wódz, i wnet knechty rzucili trupa starego Bojmira do rowu, za zagrodę.

— I małego weźcie sobie, popróbujcie łuków na nim, wieźć go nie warto, do roboty za mały — a gęba do żywienia nie potrzebna.

Ledwie wódz wyrzekł te słowa, gdy jakiś pijany Niemiec łuk napiął, zmierzył i strzała utkwiła w szyi dziecięcia — dziecię jękło z bólu, skłoniło się pod drzewo, ale wnet za pierwszą strzałą posypały się inne, jak żądła wpiły się w ciało dziecka, które jęczało coraz słabiej, w końcu ucichło zupełnie.

I jego rzucili parobcy w rów, obok ciała starego ojca.

Wieczór już zapadł. Popite Niemcy próbowały jeszcze swych strzałów na innych słabych i starych niewolnikach; w końcu pokładli się w zagrodzie i poczęli chrapać. Tylko straże rozstawione na czatach chodziły, nawołując się wzajemnie.

Miłosz noc tę przesiedział na drzewie. A Zabój z parobkami siedzieli ukryci w moczarach, w ustach trzciny długie trzymając, końce tych trzcin wystawały nad wodą, a oni niemi wciągali powietrze. Jeden z parobków stał w moczarze do rana, głowę z wód wytknąwszy między trzcinami.

* * *

Gdy słońce zabłysło, zbudzili się Niemcy, zjedli co jeszcze znaleźli, resztę na wozy ładowali, bydło zegnali, knechty powrozami zmusili niewolników do wstania i cały tabor stanął w pogotowiu.

— Czy podłożyć ogień — zapytał dowódcy ktoś z tłumu.

Wódz pomyślał chwilę — a potem rzekł:

— Nie, niech stoi, mieszkańcy wrócą do chaty, z powrotem podejdziem cicho — i wyłowim wszystkich, a wtedy zagrodę puścimy z dymem.

Wydano rozkaz i wszystko ruszyło wolno ku wschodowi.

Gdy już znikli z oczu, Miłosz odezwał się znowu zbiczym głosem. Na głos ten parobcy wyszli z moczarów i do zagrody podeszli.

Miłosz zsunął się z drzewa i stanął na ziemi.

— Dzięki bogom, chaty nie spalili — rzekł Zabój.

— Wolejby chata zgorzała, a ojciec był żyw.

— A cóż się stało z ojcem?

Wśród klątw i złorzeczeń Miłosz opowiedział o śmierci ojca i powiódł towarzyszy do rowu, gdzie leżały zbeszczeszczone, martwe ciała starca i dziecięcia.

Synowie ponieśli z uszanowaniem te ciała do chaty, ułożyli je w świetlicy na posłaniu a parobków wysłali na zgliszcza i uroczysko, aby znać dali, że Niemcy już precz poszli.

Już słońce chyliło się ku zachodowi, gdy niewiasty i dzieci wróciły z uroczyska.

Szły, płacząc i ręce łamiąc, z włosem rozpuszczonym, drąc odzienie i włos z głowy; jęki i płacze rozlegały się w koło, a echa niosły je daleko, daleko.

Przodem szła żona Bojmira, zawodząc najgłośniej i ręce łamiąc; wiodły ją córki i synowie; dziewczęta

porzucały wianki i kosy rozplotły, za nimi szły wnuki i dziewki służebne, zawodząc głośno, jęcząc i śpiewając razem.

I tak zawodząc, wpadły do świetlicy.

Pusto było i ciemno — świętego ognia, zagaszonego przez Niemców, nikt nie rozpalił, bo na wieki zagasło Bojmirowe domowe ognisko. W kątach siedzieli synowie, płacząc ojca, a u wrót psy wyły żałośnie.

Niewiasty przypadły do nieboszczyków, jęcząc i zawodząc, płacząc i drąc szaty.

Dziewki służebne zapaliły łuczywo w kącie na piecu i z parobkami wyszukiwały pochowanych zapasów, aby było z czego stypę urządzić.

Tak przeszła noc cała, nadedniem synowie zmarłego wynieśli z lochu schowaną przed Niemcami odzież i broń.

Powstała i żona Bojmirowa i z córkami i z synowymi zaczęła zmarłych odziewać.

Włożono na nieboszczyka najlepsze szaty, posadzono go, by żywego, na ławie, za pas miecz mu i topór wetknięto, łuk i worek ze strzałami przez plecy przewieszono.

U nóg ojca usadzono martwe chłopię, ubrane jak do postrzyżyn. Twarzyczka jego była blada; uleciała z niej krasa życia na zawsze.

Żona Bojmira przestała szlochać, weszła do komory i tam wdziała na się najpiękniejsze szaty, ozdobne naramienniki na ręce włożyła, bursztynem piersi ozdobiła i wyszła już cicho, jak one nieboszczyki, z którymi świat pożegna się niebawem.

Płaczki wciąż zawodziły.

Już słońce dobrze się podniosło, gdy z żalnika parobcy wrócili, znać dając, że stos już gotów.

Z parobkami przybyli i męże, co na radę czekali.

Posadzono Bojmira i Czestmira na nosze, jakby żywych; czterech parobków poniosło ich na żalnik — za nimi ruszyła wdowa i córki i gęślarz stary — potem szli kmiecie, co z boru przybyli, a w końcu służba, niosąc miseczki na objaty i popielnice — jadło na stypę, miody i wino, co w lochach było pochowane. Szli, płacząc głośno — płaczki śpiewały żałobne pieśni, jęcząc i zawodząc. Gdy nareszcie stanęli wszyscy na żalniku — złożono na stos siedzące ciało Bojmira, a u nóg ojca posadzono pacholę, uwiązano obok konia Bojmirowego, psy, sprzęty jego ulubione, w ręce mu broń włożono — aby na tamtym świecie wszystko znalazł, co lubił, i aby miał czem Niemców wojować.

Gdy już wszystko było gotowe, stara Bojmirowa, milcząc, zaczęła żegnać dzieci, ucałowała synów, córki, synowe i wnuki i już nie patrząc na nikogo, na stos wstąpiła. Nikt nie zawodził teraz, nie chcąc jej żalu dodawać. Stara pięła się po drabinie na wierzch stosu i do nóg pana, a męża swego, upadła.

Teraz podłożono płonące zarzewie w cztery rogi stosu — ogień objął w jednej chwili smolne drzewo, piął się coraz wyżej, wyżej go ogarniał. Koń rwał się, psy uwiązane przy nieboszczyku wyć zaczęły, a ogień trzeszczał i syczał.

Dzieci i płaczki jęk podniosły, powstał krzyk, płacz, lament, a tam na górze gorzały ciała zmarłych i żywej niewiasty. Nareszcie stos zapadł się, spadły ciała zmarłych i gorzały w wnętrzu stosu — ogień przygasał, dogorywał, a parobcy na koniach, z włóczniami w rękach, odganiali złe duchy. Gdy ogień zgasł zupełnie, zebrano popioły, niedopalone kości i zsypano je do popielnicy, zebrano broń niespaloną, sprzęty niedogorzałe i złożono to wszystko w inne urny i ustawiono je obok mogił ojców Bojmira — dzieci zrzuciły do mogiły co miały najdroższego, aby to ojciec znalazł na tamtym świecie, poczem zaczęto sypać mogiłę.

Teraz, gdy ciała już spalone były, duchy uleciały swobodnie w rajską krainę, złączyć się z duchami ojców i dziadów.

Stary gęślarz zanucił pieśń rzewną, smutną, tęskną; synowie lali miód na mogiłę i stawiali jadło na objatę duchom i bogom i wszyscy zasiedli do stypy. A ludu zebrało się mnogo, bo i ci schodzić się poczęli, co na wiec wiciami wezwani byli.

Po stypie wszyscy mężowie zebrali się w koło. Zabój i Miłosz przynieśli krwią zbroczone szaty ojca i brata i pomsty na Niemców wzywali.

— Krew za krew — wołano zewsząd.

— Zgliszcza za zgliszcza!

— I ja zemsty pragnę — rzekł ponuro stary Ścibor, któremu Niemcy chatę spalili, a rodzinę w niewolę zabrali.

Stary Bojan uderzył teraz w struny swej gęśli i śpiewał jakąś pieśń dziką.

— Do koła! do rady! — wołano zewsząd.

I każdy ród kupił się razem, a wszyscy zasiedli razem i radzić zaczęto.

Stary Ścibor, najstarszy wiekiem i krzywdą, pierwszy na radzie miał głos.

Miłosz mówił, że Niemców siła nie taka wielka, ale że uzbrojeni strasznie w pałasze i tarcze z kruszcu. „W otwartem polu nie zdzierżym im, lisem podkraść się trzeba, wężem podpełznąć, a wilkiem napaść".

— Nie palić wici ognistych, bo się domyślą psubraty, że do walki stajem.

— A jakże się zbierzem?

Tu Bolko Umny głos zabrał i tak mówić począł:

— Puśćmy ich w kraj, nie rychło zawrócą, my tymczasem zbierzemy sąsiady nasze, kmiecie, osadniki i służbę i uzbrojeni zbierzem się o pełni w świętym gaju. Trzeba kogoś wysłać, coby podpatrywał Niemców, a gdy wracać będą, przodem znać nam dał, którędy pociągną, byśmy zasadzkę urządzili.

— Kto pójdzie ich śledzić?

— Ja! — odrzekł Miłosz, syn Bojmira — ja pójdę paść się ich widokiem i zemstę w sobie niecić.

— Gdyby ich tak w widła rzeki napędzić, lub w moczary nagnać, toby ich można jak zwierza w matni osadzić — odezwał się ktoś z gromady.

— Oj żeby to, żeby!

— Niemcy mądre, nie łatwo ich nagnać.

— Ja ich nagonię — odezwała się niespodzianie stara Jaga, która z płaczkami na stypie zawodziła. — Ja ich strachem napędzę. — Mnie to zostawcie, a zobaczycie, że dobrze się sprawię. Wy ich nie cierpicie, a ja więcej jeszcze — i mnie przed laty męża ubili, dzieci w niewolę wzięli, chatę spalili i odtąd nie mam rodziny i po lasach starą wiedźmą się błąkam. I ja krwi niemieckiej pragnę. Powiedzcie, gdzie chcecie, abym ich wam nagnała?

W owych czasach przypisywano wiedźmom moc wielką i obawiano się ich bardzo, to też mężowie uwierzyli, że stara Jaga, co zechce uczynić, potrafi i nawet nie pytali, jak sobie pocznie, bo na to ona wiedźmą.

— Wiedź ich w widła Wisły, gdzie Srebrna woda do niej wpada, tam zapadniem w bory i gaje o pełni księżyca i biesiadę Niemcom wyprawim.

Żądza zemsty tak zapaliła zebranych, że nawet żal w sercach przycichł.

Późnym wieczorem rozeszli się wszyscy. Gdy rodzina Bojmira wróciła do chaty, wszyscy pokłonili się do nóg najstarszemu synowi Zabojowi, który odtąd miał być głową domu. W środku świetlicy rozłożono drwa i obłożono je świeżo zniesionymi kamieniami. Zabój skrzesił nowy ogień z krzemienia, żona jego od ognia tego zapaliła smolne łuczywo, podłożyła je pod drwa, nałożone na środku świetlicy; — i tak wzniecono nowe ognisko Zabojowe w miejsce wygasłego Bojmirowego.

Po naradzie wszyscy rozeszli się do swoich zagród, a stamtąd miano rozsyłać chłopaków, by wezwali kmieci na wojnę, a czyniono to cicho, bez zwykłych ognistych wici, aby Niemcy niczego się nie domyślili.

Stara Jaga wzięła wór na plecy, kij w rękę, odziała się płachtą i ruszyła razem z Miłoszem w ślad za Niemcami. Po drodze na pastwisku dopadli koni, a gdy konie się zmęczyły, puścili je i nagnali.

Puszczone luzem konie, rżąc, do swych stad popędziły.

Miłosz tam i ówdzie zajrzawszy, dopatrzył zwierzyny, której w owych czasach pełne były bory, łuk wymierzył i zastrzelił.

Stara Jaga chrustu uzbierała, ogień rozniecila, a Miłosz tymczasem zdarł skórę z zwierzęcia i tak nad ogniem je upiekł.

Jaga w las ruszyła, trochę jagód i syrożejek uzbierała, poczem do posiłku oboje zasiedli. Posiliwszy się, i wypocząwszy, schowali resztki mięsiwa do torby i ruszyli znowu w drogę.

Słońce już chowało się za lasy, gdy napotkali jakąś szopę po koniuchach opuszczoną, w niej przenocować postanowili.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przed operacją.

Ogromna, jasna sala operacyjna. Na stole leży nieruchomo blady, wynędzniały człowiek, a raczej szkielet człowieka. Ugodzony granatem, utracił obie nogi, z potrzaskanej ręki prawej zostało mu tylko ramię. Dziś mają mu je odciąć. Młody, o dziwnie smutnych oczach lekarz, pochylił się nad leżącym i przez twarz przebiegło mu nerwowe drżenie. Za chwilę zostanie jedynie kadłub człowieczy. Lekarz przetarł zwilżone potem czoło i zwrócił się do asystenta, który stał za nim ze zwojem gazy.

— Chloroformować!

Na twarz chorego założono bezzwłocznie białą maskę. Stojąca u głowy zakonnica spojrzała w smutne oczy lekarza, a potem poczęła skrapiać gazę na twarzy chorego. Nastała chwila oczekiwania. Z nachylonej flaszeczki padała kropla po kropli na twarz chorego, dławiąc nieregularny oddech. Czasem po zniekształconem ciele usypiającego przebiegło nagłe drżenie, jakiś kurcz — odezwało się głośniejsze westchnienie jękiem wydarte gdzieś z dna duszy. Poruszył kilkakrotnie głową, jak gdyby chciał strząsnąć dławiącą go zmorę, lecz baczne oko zakonnicy dostrzegło natychmiast szczelinę. Wolną więc ręką poprawiła skrzywioną maskę i udaremniała oddech swobodniejszy. W sali panowała dławiąca cisza, przesycona zapachem chloroformu. Dwóch asystentów stało nieruchomo przy stole. Oczy ich błądziły po białej ścianie i biegły w ogromne okna, przez których matowe szyby wdzierały się promienie słoneczne.

Lekarz siadł i zadumał się. I po co to wszystko? Uleczy człowieka, który na całe życie pozostanie tak strasznym kaleką, że sam widok jego przyprawiać będzie patrzącego o nerwowe drżenie. Człowiek-kadłub. Czy zdanemu na łaskę otoczenia nie będzie krwawą ironją, czemś, co się musi przeklinać? I ta świadomość, że nie można nawet skrócić tego życia... Czyż śmierć nie byłaby jedyną wybawicielką z tej bezbrzeżnej męki? Śmierć?! Myśl straszna, zaczajona gdzieś na dnie świadomości, uderzyła ciemnemi skrzydłami. Zaszumiała ponad schylonym lekarzem i zaczaiła się w kącie sali. — A gdyby on umarł? — myślał śmiertelnie blady lekarz, podnosząc głowę — odrazu skończy się wszystko.

To nadludzkie cierpienie, dla którego niema wyrazów w mowie ludzkiej i cała ta nędza późniejszego życia! Czyż on sam — gdyby mu daną była świadomość swego nieszczęścia i możność wyboru — czyż on sam nie wybrałby raczej śmierci?

— Tak — pomyślał. — Gdyby ten człowiek umarł, Bóg by mi przebaczył.

Nagle z ust uśpionego wydarł się szept, zdławiony jękiem. Lekarz pochylił się nad nim i wytężył słuch. Ty... moja... — Matka? kochanka? żona? Imię tysiąca — a jednak ile w niem treści — „moja"...

Jest więc ktoś, do kogo ten kadłub-człowiek modli się spieczonemi usty, gorączką i cierpieniami — ktoś, komu ten trup jest światem całym, ktoś, kto może czeka na jego powrót od wielu miesięcy, dnie licząc i godziny. A jeśli on go zabije... jeśli daremnie będą czyjeś oczy płakały w noc każdą, brzemienną bezsennością i łzami, które wydarte zrozpaczonym, na pół oślepłym w płaczu oczom, spadną na niego, jak straszny, nieodwołalny wyrok potępienia, jak wlokący się przez życie całe wyrzut sumienia spełnionej zbrodni? Otarł dłonią zroszone zimnym potem czoło. — Nie, nie — szepnął i przestraszony dźwiękiem własnego głosu, spojrzał na stojących z drugiej strony stołu asystentów, lecz ci patrzyli uporczywie w ziemię z drewnianemi, pobladłemi od zmęczenia twarzami. Wreszcie jeden z nich puścił trzymaną rękę chorego i podając lekarzowi lancet, rzekł twardo: — Śpi. Oczy jego spotkały się na sekundę ze wzrokiem lekarza, który wyczytał w nich twardy, nieugięty rozkaz.

— Zaczynamy — rzekł, odwracając oczy.

Drżącemi palcami pochwycił zimne, błyszczące narzędzie i pochylił się nad uśpionym...

Dr Fijołek z Krzeczowa.



Czy będzie zbawiony?

Poleciał w obłoki, w nadświaty
Duch mój,
Po piękno, po pieśni i kwiaty
Choć znój,
Wygnanie i ciężka tam praca
I ból...
Z tych pól.
I nigdy spokojny nie wraca
I milczał zaklęcie lat wiele
Jak grób,
Aż w pewną wiosenną niedzielę
U stóp
Ołtarza przyrody, — gdy dzwony...
Dzwonią —
Modlił się do Stwórcy... — Zbawiony —
Dzwonią
Potężne ludzkości serca dzwony...
Dzwonią:
Czy będzie zbawiony.... zbawiony...
Dzwonią!

Jan Pollak

Łoś na wywiadach.



Na obok zamieszczonym obrazku widzimy zwierzę, które niemal już zupełnie wyginęło na świecie. Jeszcze tu i ówdzie można je spotkać, ale zdaje się, że dni jego istnienia już są policzone. Jest to łoś. Przyczyną tego jest wyniszczenie lasów i osuszenie błot, bo łosie żyją jedynie w puszczach lub bagnistych lasach.

Łoś należy do rodziny jeleni i jest z nich najwyższym. Przewyższa on wzrostem konia, a postacią swą tak dalece różni się od innych swych krewniaków, że kto go widzi po raz pierwszy, ledwie może uwierzyć, że ma przed sobą członka tej rodziny. Ciężki, niezgrabny tułów, z grzbietem spadzistym ku tyłowi, spoczywa na wysokich i mocnych nogach, zakończonych wąskiemi a długiemi kopytami. Na krótkiej i grubej szyi osadzona jest potężna, długa i stosunkowo wąska głowa. Sterczą na niej długie uszy, podobne raczej do oślich, niż do jelenich, oraz olbrzymie rogi, szerokie i płaskie, jak łopaty, a zakończone mnóstwem ostrych, ale niezbyt długich rozgałęzień; odnóg tych bywa do 40, waga zaś pary rogów dochodzi do 25 a nawet 30 kg. Już sama obecność takiej potężnej ozdoby na głowie nadaje łosiowi niezwykle groźny i potworny wygląd. W dodatku i pysk nie poprawia bynajmniej tego wrażenia. Pysk ten jest na końcu szeroki, szerszy wogóle od głowy i posiada górną wargę wystającą naprzód i bardzo ruchomą. Zwiesza się ona zawsze na dół, a za każdem szybszem poruszeniem zwierzęcia lata na prawo i lewo.

Nie wygląda to ładnie ani ponętnie, ale dla łosia taki właśnie pysk jest najponętniejszy. Nie ma on długiej i zgrabnej szyi jelenia, nie może więc przy swym wysokim wzroście karmić się nisko rosnącą trawą; taka zaś duża, ruchoma warga znakomicie mu ułatwia zrywanie liści oraz pączków, które stanowią główne jego pożywienie; może nią również skubać wysoką trawę lub kwitnące zboże. Łoś jest bardzo wielkim amatorem młodej kory. Uchwyciwszy ruchomą wargą korę młodej gałęzi lub drzewa, zdziera ją nadzwyczaj zręcznie, bo jednorazowem szarpnięciem urywa wdół lub do góry pasmo długie na kilka czasem metrów. Jeżeli drzewo jest dość cienkie i giętkie, łoś zgina je i obiera z kory doszczętnie.

Łatwo sobie wyobrazić, jak wielkie szkody w lasach może wyrządzić ten rogacz. To też jedynie wielki, dziewiczy bór lub puszcza zdołają go wyżywić. Oprócz tego koniecznym warunkiem jego istnienia są moczary i bagna, po których łoś chodzi z dziwną zręcznością, rozstawiając szeroko długie nogi, żeby mieć możliwie największą postawę oparcia. Jeżeli błoto jest rzadsze, kładzie się prawie na niem i poruszając rogami niby wiosłami, posuwa się naprzód zwolna, ale wprawnie. Pływa również wybornie.

Dawniej łosie były u nas pospolite wszędzie, tak samo jak i w całej Europie. Polowano na niego, bo dostarczał smacznego mięsa. Szczególnie cenione były: język, uszy, pysk, czyli tak zw. chrapy. Te ostatnie zaliczano do największych przysmaków i podawano je na najwspanialszych ucztach.

Z grubej skóry starych zwierząt robiono wyborne, trwałe i mocne pasy, z cieńszej młodych — rycerskie kaftany, rękawice, siodła itp.

Prawdziwym myśliwym chodziło jednak zawsze tylko o rogi, niezbity dowód męstwa, bo polowanie na łosia połączone jest z pewnem niebezpieczeństwem, chociaż nie tak wielkie, jak na dziki lub wilki.

Łoś wogóle nie jest ani odważnem ani mądrem zwierzęciem, ale już przez samą swoją siłę może stać się groźnym dla myśliwego. Ciężki, bojaźliwy i spokojny z natury nie napada on nigdy pierwszy, a jest przy tem tak głupi, że dość łatwo pozwala człowiekowi podejść do siebie. Nawet, gdy padnie strzał, zwłaszcza chybiony, łoś odbiega tylko kilkanaście kroków, następnie staje i ogląda się, jak gdyby nie wiedział, co ma robić, lub był ciekawy, skąd ten hałas pochodzi. Ale sprawa zmienia się odrazu, jeżeli zostanie zraniony. Wpada w jednej chwili we wściekłość i ślepo rzuca się na nieprzyjaciela. Biada wówczas zarówno psom, jak i myśliwym. Ostre odnogi rogów i twarde racice, skierowane z wielką siłą w brzuch lub pierś wrogów, ranią, kaleczą a nawet zabijają. Niejeden pies pada wówczas ofiarą, a i myśliwy musi się zwijać zręcznie, śmiało i przytomnie, jeżeli chce wyjść z walki zwycięzcą. Racicami i nogami umie się łoś również dzielnie bronić i od napastników leśnych: jak wilków, niedźwiedzi i rysiów. Prawdziwie dlań groźny jest tylko niedźwiedź, który wskutek swej siły może mu dać radę.

AFORYZMY.

Jeśli cierpisz — nie sarkaj, bo cierpienie jest rylcem w ręku Boga, który rzeźbi duszę Twoją...

Nieszczęśliwy jest ten, który nie życiem, lecz życie nim pokieruje...

Gdy rozmawiasz z głupcem, a czujesz się mądrym, dobrze uważaj, by właśnie ten głupi nie uczynił ciebie podobnym sobie.

Stanisław J. Rabjan.



MACIEK BZDURA GADA:

Walek Bandzioch to od samego urodzenia był okropnie przyścipny chłopak. Ba gdzie tam od urodzenia! On jesce przed urodzeniem potrafił ludziom różne śpasy stroić. Pirsem jego figlem, jak opowiadała stara Fajfulina, było to, ze se zaśpasował z swojej mamusie i na świat przysedł, nie jak inkse dzieci w Psiej Wólce, w dwa albo trzy miesiące po weselu, ale juz za styry dni po ślubie. Zaraz powiadali ludzie, ze to będzie Wybijokno, kiedy sie mu tak spiesyło na ten świat.

I tak tez było w rzecywistości. Walek zawse tam schodził, gdzieś go nie posiał. I latego właśnie moze, choć se nic nigdy nie posiał, to zawse wszyćko miał. Na przykład nie siał nigdy marchwi, ale wiedział zawse, ze marchew jest posiana na Jackowych zagonach. Jacek orał, Jacek siał, Jacek plewił, ale gdy marchew urosła, to ją zjadał Waluś za łujkową stodołą, albo i zaraz na polu. Tak było z ogórkami, tak z grochem, tak pod jesień ze rzepą. Albo przechodziłeś se jednego dnia koło Pęcakowego ogrodu i widziałeś źrałe, cerwoniuśkie jabłuska. Nazajutrz jabłuska te przemieniały się w Walka, siedzącego na gałęzi. Siedział tam i zjadał jabłusko za jabłuskiem, a kiedy go Pęcak zuźrał i sedł z kijem, aby go przełoić, to Waluś znikał, jak kanfora i juz go nie było. A gdy się kto próbował uzalić na niego przed jego macierzą, to wsiadła na takiego uzalaca z pyskiem, ze się mu na drugi raz wszyćkiego odniechciało.

I byłby se Waluś zył, ani nie siejąc, ani nie orząc, jak ten śpiewający skowronek na niebie, gdyby nie wojna. Przysła wojna i pocęli chłopaków zabirać do wojska. Waluś nie spiesył się, bo mu wojna była nie w głowie, ale przysed siandar i wziął nieboraka i powiódł go do reimentu. Powiadają, ze mus, to wielgi pan i ze nawet najaśniejsy pan, jak musi, to robi, więc tez i Walek, jak musiał, tak posed bić się za najjaśniejsego cysarza i jego austrjacką ojcyznę. Zreśtą pójść musiał, ale bić się nie miał ani powodu ani ochoty, bo przecie zaden Moskal nic mu złego nie zrobił. Ale kazali, to i posedł i robił wszyćko to, co potrza było, bo jakby był nie robił, toby mu był pon kapral takiego śturchańca pod łopatkę wsunął, zeby się mu było na zawse wszelkiego wymigiwania się odniechciało.

Ale gdy się znalazł na froncie, w strzeleckich rowach i kazali mu do jakiegosik niewidzialnego nieprzyjaciela strzylać, to se pomyślał, ze to wcale rzec niefajna siedzieć w dziurze, jak jaki kret i nietylko inksych ludzi zabijać, ale i parę razy na dzień móc być samemu zabitem. Latego tez jednego wiecora, gdy strzylanina ustała, wysedł se Waluś z rowu na pole i łaził tu i tam, cy gdzie jakich jabłcąt nie zuźry, aby se dawne dobre casy przypomnieć. Ani nie wiada kiedy, zbliżył się do rowów rosyjskich i z całą przyjemnością dał się wziąć do niewoli.

Dobrze mu tam było, bo choć kiepsko jeść dawali, ale robić nic nie kazali, więc tez prosił scyrze Pana Jezusa, aby się wojna nigdy nie skończyła, zeby nie musiał powracać do Psiej Wólki, gdzie, choć niewiele, ale zawse cojniecoj trzeba było zrobić. Widocznie Ponieżus wysłuchał Walka, bo choć się wojna z prawdziwemi Moskalami skończyła, to się zaczęła z bolsewikami i tak zył se Waluś bez troski lat parę. Ale widocnie zapóźniej miał juz Ponieżus co inksego do roboty i nie chciał Walka słuchać, bo i z bolsewikami wojna się skończyła, a ci po skończeniu wojny takze za darmo jeść dawać nie chcieli.

Póki Walek mógł, to se tam jakosik radził. Był przez jakiś cas zarządcą fabryki cukru i prowadził słodki żywot, potem został komisarzem ludowym, przycem marzył nawet o zostaniu jakiem Trockim, albo Stalinem. Poznali się jednak na nim w końcu i bolszewicy i coraz bardziej zaczęli go przyciskać. „Burżuj — powiadali — galicyjski hrabia. — Za durnoby zar, a robić mu się nie chce! Kontrrewolucjonista!“ Powiadali tak i coraz krzywsem okiem na niego patrzyli, wobec tego po siedmnastu latach zwiał Waluś z raju bolszewickiego i nie zatrzymał się, jaze w Psiej Wólce.

Najbardziej powrotem jego uciesyła się Kaśka Myrdalonka. „Walek — powiada — pewnikiem mi poradzi, w jaki sposób pozbyć się cystości panieńskiej, bo przecie wiadomo, ze u bolsewików nie znajdzie się teraz starsej panienki nad lat dwanaście, a są nawet szesnasto i siedmnastoletnie, które juz po pięć i sześć razy się wydawały. Gadali przecie wkiejsik u wójta, ze u teraźniejsych Moskali to mozna w poniedziałek wziąć ślub, we wtorek się rozwieść, a znowu we środę wziąć ślub z inksą“. Posła tedy Kaśka do Walka i pyta się, cy to prawda? „No jusci, ze prawda! — powiada Walek. — Zajdzies tam do jakiej chałpy i zobacys na przykład pięcioro dziecek i zapytas: Mamusiu, cy to wase wszyćko? — Odpowieci, ze jej. A gdzie tatuś? A ona: Ojciec Igora w fabryce, Paraski w kopalni, Iwana jest cyrwonogwardzistą, Praksedy w kreminale, a Danyły tatusia wcoraj rozstrzylali. To rozumie się porządek, bo tam się zadna niewinność panieńska nie marnuje!“

Roześmiały się ślipia Kaśki, bo se pomyślała, ze jak za jakie 100 lat i do nas bolszewizm się przedostanie, to i ona nie będzie taka bidna, jaka jest teraz od zesłej jesieni.



Czekam...

Czekam i czekam — serce bólem zbite
I krwią zbryzgane bezsłownej rozpaczy
Każdy mój oddech jest skargą, skowytem,
Bo wiem, że słowo nie — nic tu nie znaczy.

Czekam i czekam; lepka woń twych włosów
Mnie zdala wabi, list twój onieśmiela,
Twe oczy modre jak błękit niebiosów
Pojąswą głębią jak winem wesela.

Czekam i czekam — poprzez mgłę oddali
Serce wspomnieniem do ciebie ulata,
Czasem coś płacze, coś się we mnie żali
I myśl do ciebie przypływa skrzydlata.

Nie myśl, że tęsknię, zalewam się łzami
Z serca westchnienia lecą jak kadzidło,
Raz jeszcze w rzęs twych chcę skryć się baldachim,
Nim zapomnienia pokryje mię skrzydło.

Władysław Cudzich.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Bośnia III.

W Sarajewie pomieszane są nietylko różne narodowości, ale i wyznawcy różnych religij. Widzimy przykład tego na naszym pierwszym obrazku. Oto



Katedra, cerkiew i moszeja.

obok katedry katolickiej, widocznej na lewo, stoi w głębi cerkiew prawosławna, a na pierwszym planie widać półokrągłe kopuły mahometańskiej moszeji. Obok po prawej ręce wznosi się wspaniały gmach tamtejszego muzeum.

Ciekawa jest rzecz, że Sarajewo, jakkolwiek posiada w swych murach bardzo dużo mahometan, nie ma właściwego muzułmańskiego cmentarza. Wszędzie, gdzie tylko widnieje kawałek wolnego pola, wzdłuż drożek i uliczek, koło domostw i meczetów, sterczą murowane nagrobki, uwieńczone kamiennym zawojem, jeżeli wznoszą się na zwłokach janczara, zaciosane spiczasto, jeżeli pod nimi leży spahis, pisane złotemi i niebieskiemi literami, jeżeli stoją nad mogiłą znaczniejszego mahometanina. Nikt nie śmie targnąć się na pomniki, poświęcone czci zmarłych, to też ostały się one nawet tam, gdzie nie zwykliśmy ich zresztą widywać, jak np. w pośrodku kolejowego dziedzińca, wśród wybrakowanych wagonów i lokomotyw. Ogród miejski przepełniony grobowcami, jest także niczem innem, jak pierwotnem cmentarzyskiem. Muzułmanin, używający niegdyś wyłącznie pełni praw i przywilejów, grzebał swych umarłych gdzie chciał, wyznaczał natomiast innym, zaledwie cierpianym wyznaniom, dokładne odmierzenie cmentarza. To też żydowskie nagrobki tłoczą się na ciasnej przestrzeni na zboczu Trebowicza. Stoją tam w zwartych szeregach potężne głazy, zaokrąglone z tyłu, z przodu zaś zaopatrzone okrągłemi tablicami, na których czernieją hebrajskie napisy. Katolicy i prawosławni mają również swoje oddzielne cmentarze.



Scena uliczna w Sarajewie.

W Sarajewie są sklepy takie, jak i w innych miastach europejskich, ale są też i oryginalne kramy takie, jaki widzimy na naszym drugim obrazku. Jest to jakaś podłużna budka bez ściany od ulicy, w której na półkach znajdują się towary, a pod ścianami są poustawiane stołeczki. Kupujący przychodzi do takiego kramu, usiada na stołeczku, rozgląda się po sklepie i upatruje za tem, coby miał ochotę nabyć. Często nim wybierze i kupi jakąś rzecz upływa i godzina czasu na pogadance z kupcem i z innymi interesantami. Nikt się nie spieszy, gdyż każdy ma czas.

U nas w większem czy mniejszem mieście nie widać nigdzie ludzi siedzących na ulicy. Jeżeli sobie



Dziewczęta serbskie u studni.

chce ktoś wypocząć, to idzie do szynku, zasiada przy stole, przy szklance lub kieliszku, i gwarzy z towarzyszami, a jeżeli nie chce iść do szynku, to odpoczywa gdzieś na wozie, lub na jakiejś przydrożnej barjerze. Dla mieszkańca Sarajewa każde miejsce dobre, więc też co krok można spotkać siedzących na ulicach i gapiących się na przechodniów.

Często do takiego otwartego sklepu przychodzą mieszkańcy Sarajewa nie po to, aby w nim coś kupić, ale tylko na zwykłą pogawędkę, na której spędzają wiele wolnego czasu.

Malowniczo wygląda strój dziewcząt tamtejszych. Wprawdzie i tam, jak zresztą w całym świecie, przekradła się moda kusych spodniczek, której przeważnie hołdują żydóweczki tamtejsze, a w ślad za nimi idą chrześcijanki, opierają się jej jednak muzułmanki, które jeszcze nie zarzuciły całkiem powłóczystych szat i zasłon, zakrywających ich nieraz wcale ładne oblicza. Na trzecim

naszym obrazku widzimy dwie dziewczęta serbskie przy studni w ich powłóczystych malowniczych szatach z oryginalnemi naczyniami na wodę. Jak może na tamtejszy dość ciepły klimat jest to nieco szata za ciężka, ale z drugiej strony chroni je znakomicie od ciepłych promieni słońca i zachowuje cerę ich w stanie delikatnym.

(Ciąg dalszy nastąpi).



(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

VIII.

Opowiadanie hrabiego.

Hrabiego zastał w swoim gabinecie, zajętego odczytywaniem dopiero co nadeszłej korespondencji. Zobaczywszy lekarza, podążył naprzeciw, wyciągając serdecznie obie ręce.

— No i cóż nowego, panie Stachu, witał go z rzewnym uśmiechem. Ośmielam się użyć wyrażenia córki Marty. Myślę, że pan doktor nic nie będzie miał przeciwko temu.

— Bardzo dużo nowin, panie hrabio, odrzekł. — Czuwając tej nocy przy chorej, zdołałem wreszcie wpaść na ślady źródła choroby.

— Tak? — rozjaśniła się twarz hrabiego i rzekł z uśmiechem: — Byłby to najszczęśliwszy mój dzień.

— Może nim być — pospieszył Brutanek z odpowiedzią — o ile pan hrabia zechce być ze mną szczerym.

— Wszystko co może być, uczynię.

— Rozchodzi mi się o wyjaśnienie tajemnicy, którą nie tylko pan hrabia, ale również całe otoczenie uporczywie osłaniało. Czy hrabianka Marta miała siostrę-sobowtóra?

Pytanie to uczyniło na hrabim wielkie wrażenie, a twarz zasępiła się momentalnie.

— Lepiejby było, gdyby pan nie rozdrapywał dawnych ran, które jeszcze nie są dobrze zabliźnione. Tak się starałem, by o tem pamięć powoli się zatarła, a tymczasem na każdym kroku uporczywie pytają mię o to. I pan także idzie śladami innych? Dotąd miałem go za najlepszego.

— Panie hrabio — nie czynię tego z prostej ciekawości. Od tego jedynie zależy życie córki pańskiej. Jeżeli to zbyt bolesne wspomnienie, proszę milczeć, ale w takim razie musi pan i córkę poświęcić. Ona poprostu z tą zmarłą połączona jest nieokreśloną nicią i za nią pójść musi.

— Ze zmarłą? — zapytał hrabia niezwykle zdumiony i przerażony.

— Tak! — To jedynie przypędziło mię pod dach pana hrabiego. Nie przyjechałem tu bowiem w celu leczenia córki. O chorobie jej zupełnie nie wiedziałem. Powiedział mi o tem stary kamerdyner, gdy wstępowałem w progi domu. Przystąpię jednak do dokładniejszego wyjaśnienia.

Podając hrabiemu dziennik polski, w którym zamieszczony był artykuł „Samobójstwo czy zbrodnia“ z fotografją utopionej w Myślenicach, poprosił o przeczytanie.

Patrząc, jakie wrażenie wywarła wiadomość, nie dodawał żadnych wyjaśnień.

— Tak — to ona — przyznał hrabia ze smutkiem. — Jak niewyjaśnione były dotąd jej narodziny, podobną zeszła śmiercią. Biedna to rzeczywiście istota.

Zdziwiony podobną uwagą Brutanek z kolei podał drugi dziennik, w którym był zamieszczony opis niezwykłych wydarzeń w czasie sekcji topielicy.

— Czy to prawda? — zapytał hrabia niezmiernie zdumiony.

— Prawda, — potwierdził lekarz. — Byłem obecny przy sekcji i doznałem również podobnych wrażeń, o których wspomina kolega. Jego bowiem posądzam o autorstwo artykułu. Znam całą sprawę, ponieważ byłem nietylko przy sekcji, lecz również przy wyciąganiu zwłok z wody.

Podając przedmioty znalezione przy zmarłej, wyjaśnił, iż one stały się przyczyną, dla której ośmielił się przyjechać do zamku.

— One to, niezwykły wygląd zmarłej po śmierci, a wkońcu owe „dziwy“ — nakłoniły mię do odegrania roli detektywa. Udałem się do władz sądowych, jednak te zaniechały zupełnie sprawy, jako niewyjaśnionej. Nikt bowiem nie podał nazwiska zmarłej.

— Nie czytujemy dzienników polskich, a węgierskie o tym wypadku nic nie wspominały — usprawiedliwiał się hrabia.

— Jedynie pewien wieśniak, — mówił Brutanek — z powiatu nowosądeckiego, nazwiskiem Malczyk, znalazł w utopionej podobieństwo do swojej zmarłej córki i doniósł o tem policji.

Patrząc przy tej wzmiance na hrabiego, zaobserwował bolesny skurcz twarzy, a równocześnie posłyszał cichy szept.

— To właśnie podobieństwo stało się powodem mojego nieszczęścia... mojego okrutnego nieszczęścia, powtórzył, zwieszając smutnie głowę.

— Nie namyślając się długo — wtrącił Brutanek, pojechałem do owego wieśniaka, u którego dowiedziałem się, że córka zmarła w Debreczynie, zabita sztyletem przez umysłowo chorą.

Hrabia milczał, jedynie rysy twarzy coraz głębszemi brózdami zdradzały boleść. Silniejsze momenta z opowiadania Brutanka, przyprawiały ją o gwałtowne skurcze.

— I tu urwały się moje ślady — ciągnął, widząc, iż na twarzy hrabiego pojawiła się jakaś ulga. — Mimo wielkich starań, nie dowiedziałem się, przez kogo córka Malczyka została zabita i czy pozostawiła potomka.

Na twarzy hrabiego spostrzegł jeszcze większą ulgę.

— Za notatką na fotografji podążyłem do Paryża. Już zwątpiłem o nadziei odszukania dalszych śladów, kiedy w ręce moje dostał się dziennik „La Republique“.

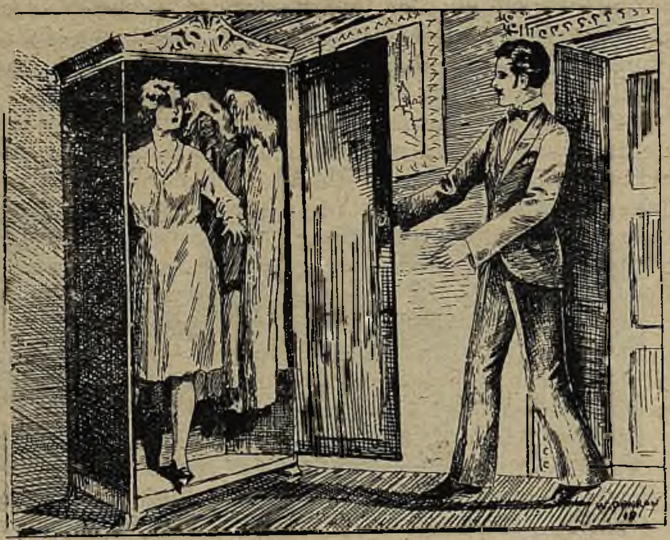
Podając go hrabiemu, opowiadał:

— Fotografja rzekomej hrabianki Marty Radwanyi w ciekawym artykule powiodła mię do Londynu. I tu nie wiele się dowiedziałem o zaginionej. Zrezygnowałem z poszukiwań i już miałem udać się do Wiednia, gdy herbarjusz węgierski powiedział mi, gdzie ród Radwanyi ma swoją siedzibę. Tym sposobem znalazłem się w zamku pana hrabiego.

— Zaginiona Marta Radwanyi nie jest naszą chorą Martą, lecz utopioną prawda? — zapytał wkońcu cicho.

— Prawda, potwierdził hrabia zgnębiony.

— Proszę mi więc powiedzieć, kim jest owa utopiona i co ją z hrabianką Martą łączyło.



Podążyłem do niej, wyciągając radośnie ręce.

Na twarzy hrabiego pojawiła się nowa troska, a pytanie zbył milczeniem.

— Panie hrabio — przypomniał mu — ja muszę znać tajemnicę, inaczej córka pańska umrze. Proszę mi szczerze odpowiedzieć.

— Zatem powiem panu, że ja sam dokładnie nie wiem, co jest prawdą w całym wypadku. Urodzenie zmarłej, jak również córki Marty, okryte jest nietylko niewyjaśnioną, ale wprost straszną zagadką. Sprawa jest tak skomplikowaną, że jedynie Stwórca mógłby ją wyjaśnić. Tyle jedynie wiem, iż obie były mojemi córkami, ale czy były własnemi siostrami — nie mogę powiedzieć. Chociaż niechętnie, opowiem jednak panu całą historję, od kiedy ona początek bierze. Na mnie — w całej okrutnej rzeczywistości sprawdziło się, jak czasem jeden rzekomo małoznaczący, ale nierozważny krok nietylko zaważy na dalszych losach człowieka, ale się stanie wprost jego fatalizmem. Historja ta cofa się 22 lat. Było to w r. 1908. Jako rotmistrz huzarów węgierskich brałem udział w manewrach armji austrjackiej. Odbywały się, jak zwyczajnie, w Małopolsce, zwanej podówczas Galicją. Dowództwo wybrało teren najbardziej górzysty, w powiecie nowotarskim. Posuwając się z manewrami, dotarliśmy do pewnej wsi i tam zakwaterowali, w bogatym dworze hrabiostwa Konopackich.

— Aha! — wtrącił bezwiednie Brutanek.

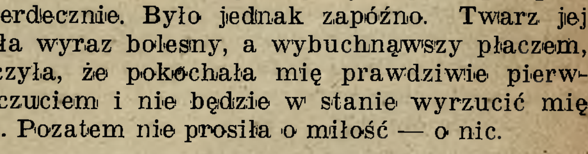
— Tak, — potwierdził również mimowoli hrabia. — Tam poznałem obecną moją żonę. U hrabiostwa doznaliśmy niezwykle uprzejmego i gościnnego przyjęcia. Kwaterowaliśmy całe dwa tygodnie, spędzając czas bardzo przyjemnie, zwłaszcza ja. Ozdobą dworu były trzy córki hrabiostwa. Jedna z nich niemal od pierwszego wejrzenia spodobała mi się niezwykle i przypadła do serca. Wkrótce przekonałem się, że nie jestem jej obojętnym i to zachęciło mię do dalszych kroków. Nie potrzebuję panu mówić, że była śliczną — nawet dzisiaj to pan z jej wyglądu poznać może, chociaż liczy już przeszło 40 lat. Zresztą córka jest jej zwierciadłem z młodszych lat. Po poznaniu mojego rodowodu rodzice zupełnie nie sprzeciwiali się naszej przyjaźni. Nic też dziwnego, że przez dwa tygodnie mojego pobytu pokochałem ją serdecznie. Cieszyłem się, jak dziecko, gdy się dowiedziałem, że ona darzy mię również podobnemi uczuciami. Manewry przeniosły się na inny teren. Bardzo smutna była nasza chwila rozstania, jednak przyrzekłem jej, że niedługo powrócę z oświadczynami. Na moje nieszczęście, gdyż niczem innem nie mogę nazwać dziwnego zbiegu okoliczności, zatrzymaliśmy się w powiecie nowosądeckim. Przeznaczono mi na kwaterę wioskę, w której nie było dworu. Zamieszkałem w bogatem domostwie gospodarza Malczyka.

— Aha — wtrącił znów mimowoli Brutanek.

— Następnego dnia, po przebudzeniu się, podszedłszy do okna, spostrzegłem na podwórzu dziewczynę, która wprawiła mnie w zadziwienie. Czyżby hrabiankę Konopacką przypędziła za mną tęsknota? pytałem się w duchu. Myślałem, że śnię. Przetarłem oczy, ale złudzenie nie znikało. Wyszedłem z łatwo zrozumiałą radością na podwórze i podążyłem do niej, wyciągając radośnie ręce. Zbliżywszy się, poznałem swoją pomyłkę, chociaż i wtedy jeszcze sobie wierzyć nie chciałem. Dziewczyna tak niezwykle była podobną do mojej ukochanej, że trudno było je rozróżnić i dopiero po dłuższej obserwacji doszedłem do przekonania, że to nie ona... Cera hrabianki była cośkolwiek bledszą i delikatniejszą, nadto strój jej więcej elegancki. Pozatem wszystkie jej ruchy, rysy i pewne grymasy, były takie same. Naturalnie, że wyciągniętych rąk nie wpadało mi cofnąć i przywitałem się. Wtedy dopiero dowiedziałem się, że to córka Malczyka. Jako słuchaczka medycyny przebywała jeszcze na wakacjach u rodziców. Rozmawialiśmy po francusku, ponieważ znała doskonale ten język. Spostrzegła, że mię zajmuje i sprawiło jej to wielką radość. I wie pan, nie wiem, czy za zrządzeniem wyższej siły, czy też niezwykłego podobieństwa do ukochanej, począłem coraz częściej w wolnych chwilach poświęcać jej swój czas. Dziesięć dni przebywałem pod dachem wieśniaka i przez te dziesięć dni zdołałem rozkochać nieszczęśliwą dziewczynę. Wszędzie mieli mię za prawego, poczciwego, gdyż starałem się na to uznanie zasługiwać — w tym wypadku jednak postąpiłem wbrew swoim przekonaniom.

Za to też widocznie spotkała mię kara. Wina moja nie była tu jednak taka wielka, gdyż zdawało mi się, że mam przed sobą swoją ukochaną i dlatego też pozwoliłem sobie na większą poufałość, niż wypadało. Wkońcu nawet doszedłem do pocałunków. Kiedy się dowiedziała, że opuszczam wioskę, stała się bardzo smutną. Zrozumiałem wtedy, jaką wyrządziłem jej straszną krzywdę. Poprosiłem do siebie i wyjawiając powód, dla którego nią się zająłem, przeprosiłem serdecznie. Było jednak zapóźno. Twarz jej przybrała wyraz bolesny, a wybuchnąwszy płaczem, oświadczyła, że pokochała mię prawdziwie pierwszem uczuciem i nie będzie w stanie wyrzucić mię ze serca. Pozatem nie prosiła o miłość — o nic.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jak to było po śmierci.

Humoreska.

Jan Łabuda był sobie zasobnym rolnikiem. Miał też dość rozległe pole pracy. Był radnym gminnym, prezesem Kółka rolniczego i t. d. Ale miał dużą, ale dużą wadę, bo przy lada sposobności lubił sobie podlać porządnie. A że ta sposobność zdarzała się dość często, bo mu ją nadarzały jego liczne godności, to też do domu wracał albo dobrze podchmielony, albo zupełnie pijany. Wtenczas trapiła go manja samobójcza. Jego żona miała pracę nielada, pilnować go ciągle, żeby swojego zamiaru w czyn nie wprowadził. Nieraz przyszło jej stoczyć porządną walkę z niedoszłym samobójcą. Gdy poszedł na zebranie lub tylko do gospody, musiał z nim iść dorastający syn. Ludzie we wsi znali jego słabość, to też dzieci, gdy wracał podchmielony, śmiały się z niego, dokuczając mu w różny sposób.

Razu jednego był wołany do Rady gminnej, a że syna nie było w domu, poszedł sam. Gdy po zgromadzeniu popili sobie dobrze, to też nasz pan Łabuda, będąc w dobrym humorze, zapragnął nagle swój zamiar wykonać. Gdy się więc rozeszło zebranie, podążył do lasku, aby swój pomysł wykonać. Ponieważ był porządnie pijany, nie mógł w żaden sposób paska przewiesić na gałąź. Nareszcie tak się zmordował, że padł pod drzewem, jak nieżywy i zasnął twardo. Przytem śnił mu się sen niezwykły.

Śniło mu się, że rzeczywiście się powiesił. Lecz nie tak miło to było, jak mu się zdawało. Chciał krzyczeć i bronić się, ale taki sobie mały człowieczek przybiegł i zaczął nim huśtać i wywijać w powietrzu. — Jakaś piekielna muzyka grała ciągle szalenie. Przytem widział swoją duszę z czarną jak smoła twarzą, jak oczekiwała wyroku Najwyższego. Djabeł stał obok z dużemi widłami a Anioł stróż odchodził, płacząc. Nareszcie przychodzi Anioł z dużą księgą i odczytuje wyrok, skazujący go na potępienie. Strach i zgroza przejmują go na widok djabła, który zbliża się do niego, aby go odprowadzić do bram piekła. Pada więc na kolana i błaga o zmiłowanie, ale ciemność go ogarnia i rozlega się śmiech szatana. Mnóstwo ciemnych postaci otacza go wokoło i zabiera z sobą. Widzi się wreszcie w piekle. Całe mnóstwo potępionych obstępuje go wkoło, śmiejąc się strasznym śmiechem, zgrozą przejmującym. Zbliża się sam lucyfer i zaprasza go do dalszych przybytków.

Zjawiają się roześmiani muzykanci szatańscy, grając na powitanie, prowadzą go do rozpalonego do białości haka. Dwaj djabli podnoszą go za nogi i wieszają, a gdy chce krzyczeć, wlewają mu jakąś cuchnącą ciecz do gardła.

Ze strachu i zgrozy budzi się, ale co to widzi? Gromada roześmianych pasterzy podnosi go i stawia na nogi, śmiejąc się przytem do rozpuku. Wstyd go ogarnia i gdy sobie przypomina, że mu się śniło, iż się naprawdę powiesił, ze spuszczoną głową odchodzi do domu. Było z tego śmiechu co niemiara, ale od tego czasu pan Łabuda wyleczył się ze swojej manji.

Róże..

Jeden jedyny kwiat, który skupił przy sobie moc podań i legend, jeden jedyny kwiat, który przeszedł przez wszystkie ludy i narody, wzbudzając zachwyt i podziw.

Już w starych Indjach istniało prawo, że kto przyniósł królowi różę, mógł prosić o wszystko, czego sobie życzył. Różami strojono i obsadzano świątynie, a książęta kazali w swych ogrodach kopać specjalne baseny, w których była woda różana.

Z Indji przeszła do Persji i w krótkim czasie tak zjednała sobie serca mieszkańców, że Persja cała pokryła się ogrodami róż, dla których corocznie urządzano specjalne święta. Potem powędrowała do Turków, którzy wierzyli, że biała róża powstała z kropel potu Mahometa, kiedy nocą do nieba wstępował. — Żydzi zaś wierzą, że czerwoną różę wydała na świat niewinna krew Abla, dlatego też róża ta powinna być ozdobą panny młodej w dzień jej ślubu. W Egipcie także znaną była, a piękna Kleopatra jej właśnie zawdzięcza miłość Antoniusza.

Grecy wierzyli, że róża powstała z białej piany morskiej, którą okryte było ciało Afrodyty, wychodzącej na brzeg morza. Różami również stroili głowę panny młodej, drzwi jej domu i łoże małżeńskie. Pączek zaś róży uważali za symbol nieśmiertelności i rzeźbili go często na mogilnych płytach.

Z Grecji przywędrowała do Rzymu. Tutaj za czasów republiki była symbolem niewinności i cnoty, w czasie zaś upadku Rzymu, stała się symbolem rozkoszy i wyuzdania. Rzymianie, tak jak Persowie, rozkochali się w róży. Podczas każdej uczty stoły biesiadne różami były przybrane i podczas każdej uczty spadał deszcz z płatków różanych. W takim deszczu z róż Heljogabal udusił wszystkich gości, których na ucztę zaprosił. Z róży umieli Rzymianie przyrządzać nietylko wino, ale także rodzaj budyniu, galaretkę i cukier różany.

Wskutek tego, że róża cieszyła się takiem wzięciem u Rzymian, pierwsi chrześcijanie bynajmniej jej nie uwielbiali, uważając ją za kwiat rozpusty.

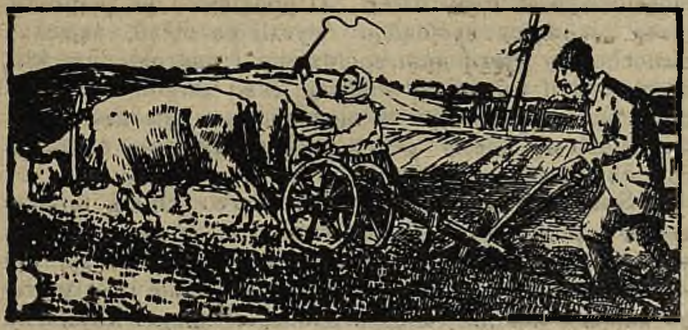
Z czasem jednak i to minęło, a dzisiaj papież posyła „Złotą Różę“ tym monarchom, którzy się dobrze kościołowi zasłużyli. Różę taką ze szczerego złota osypaną drogiemi kamieniami sporządza złotnik z rodu, który od wieków już przywilej sporządzania takich róż posiada. Na złotych listkach róży wyryte jest imię papieża i cnoty, któremi się osoba obdarowana odznacza. Listki są pokryte maleńkiemi brylancikami wyobrażającemi rosę niebieską. Taką „Złotą Różę“ dostała ostatnio królowa hiszpańska Wiktorja, dzisiaj tronu pozbawiona.

We Francji pierwsze różańce robiono z ugniecionych płatków róży, zmieszanych z gumą arabską. Prócz tego urządzano osobne święta róż, na których obierano królową róż, najcnotliwszą pannę z okolicy. W Anglji po wojnie „Dwóch Róż“ ogrodnicy wyhodowali na jej pamiątkę krzew, który miał na sobie i białe i czerwone róże równocześnie. Z czasów panowania Elżbiety róża była oznaką elegancji. — Noszono ją zwykle (i mężczyźni i kobiety)... za uchem. Przykład dawała sama królowa.

U nas wierzą, że biała róża powstała z pieluszek, które Matka Boska, wyprawszy, suszyła dla Jezusa. Róży również przypisują własności lecznicze. Listki jej nakładano na twarz, aby uzyskać piękną cerę, a „esencji z pszczół gotowanych w różanym olejku, używano jako środek do odrastania włosów“.

Jak niezapominajka tak i róża stała się u nas symbolem miłości i uwielbienia. Jest kwiatem zakochanych, którzy na życie różowo patrzą, trosk żadnych, prócz tęsknoty miłosnej, nie znając.

Jedno z podań wschodnich głosi, że Bóg stworzył piękną różę. Adam, nasz pierwszy rodzic, zobaczywszy jej wspaniałość i urodę, spojrzał na nią z takim zachwytem i pożądaniem, że biedna róża aż poczerwieniała ze wstydu. Dzięki temu dzisiaj róże czerwone są symbolem płomiennej i gorącej miłości. Szkoda tylko, że płomień ten nie spala... cierni



Poradnik gospodarczy.

Jak poprawić sad?

Przedewszystkiem usunąć ze sadu: 1) cały balast niepotrzebny, tworzący często gąszcz, a więc różne dzikie krzewy, czarny bez, leszczynę, odbitki korzeniowe i wyrosłe z nich krzaki, zdziczałe maliny, dzikie drzewa owocowe itp., 2) bezwartościowe krzewy i drzewa owocowe, przestarzałe wiśnie, lubaszki, nierodzące drzewa i złe odmiany, 3) drzewa chore, zrakowaciałe i t. p., 4) drzewa za gęsto sadzone, widzi je się sadzone co 2—3 m. usuwać gorsze. Nie obawiać się, że przez wycięcie drzew będzie mniej owocu, przeciwnie: przez umożliwienie im dostępu światła i powietrza rodzić będą obficiej i wynagrodzą tamte, 5) przerzadzać korony drzew i odmładzać stare, przecinając gałęzie. Starym pestkowatym silnie skracać gałęzie. Gałęzie nie mogą się krzyżować a korony plątać, 6) pnie i gałęzie oskrobać i osmarować wapnem, 7) pożądane jest wczesną wiosną skrapiać drzewa 5 proc. cieczą bordoską dla zniszczenia porostków i grzybków pasożytnych, 8) w związku z temi robotami trzeba poprawić ziemię, glebę skopać, a nawozić drzewa. Przy poprawianiu starych sadów jest to rzeczą podstawową, bez której niewiele przydałyby się wszelkie inne zabiegi koło pni i koron, 9) zdrowe drzewa, ale liche odmiany, możemy przeszczepiać na lepsze, w ten sposób poprawiony sad może długo jeszcze obficie owocować i dawać dobry dochód. Należy tylko jeszcze, o ile sad nie jest za stary, podsadzać drzewa, które zginęły.

Radjo na wsi.

Mówi się wciąż o wielkich przeszkodach, które w dzisiejszych ciężkich czasach hamują jakoby zupełnie rozpowszechnianie radja na wsi.

Korzyści, jakie radjo daje każdemu człowiekowi, a szczególnie mieszkańcowi wsi, są tak wielkie, że nad sprawą rozwoju radja w najbardziej nawet zabitych deskami zakątkach kraju nie wolno dziś mimo wszystko przechodzić do porządku dziennego.

Istniejące rzekomo przeszkody można podzielić na dwa rodzaje:

Małe uświadomienie olbrzymich mas ludności wiejskiej, o tem co to jest radjo i co ono daje, z jednej strony, a z drugiej przeszkody natury materjalnej więc opłata miesięczna za prawo korzystania z aparatu oraz cena odbiorników radjowych. Uwzględniwszy istotnie niesłychanie ciężkie położenie ludności wiejskiej, nie można nie przyznać racji tym wywodom. Nie mniej jednak szukać należy dróg, któremiby mimo wszystko kroczyć mógł rozwój radjofonji na wsi. Szeroka i powszechna propaganda radja na wsi podjęta zgodnie przez organizacje społeczne, działające na terenie wsi, a przedewszystkiem przez organizacje rolnicze i młodzieżowe, może bardzo przyspieszyć okres zapoznawania się wsi naszej z radjem.

Wiele pod tym względem zdziałało już dotychczas Polskie Radjo, organizując 600 punktów odbiorczych na wsi, w których według nadsyłanych sprawozdań, w ciągu zimy gromadzą się stale tysiące rolników, słuchając wykładów Radjowego Uniwersytetu Ludowo-Rolniczego. Tym sposobem Polskie Radjo zyskało tysiące nowych zwolenników wśród mas rolniczych, dla których sama istota radja dotychczas była tajemniczą, niezrozumiałą siłą, znaną z fantastycznych nieraz opowiadań.

Organizacja Radjowego Uniwersytetu wykazała jednocześnie możliwość rozwiązania drugiej stokroć ważniejszej sprawy, mianowicie pokonania trudności materjalnych w rozwoju radja na wsi.

Wśród sześciuset punktów odbiorczych większość posiadała aparaty lampowe, w każdym punkcie gromadził się znaczny zastęp słuchaczy przy głośnikach, było jednak również bardzo wiele punktów, w których wykłady Uniwersytetu słuchane były zapomocą aparatów kryształkowych przez słuchawki w gronie trzech, czterech lub pięciu osób.

Te małe paroosobowe zespoły posługujące się tanięmi aparatami dla słuchania radja wskazują właśnie praktycznie wypróbowaną drogę rozwoju radja na wsi w obecnych nad wyraz ciężkich czasach. Jeżeli wydatek 40 zł. na kupno aparatu radjowego i 3-ch zł. na opłatę miesięczną uważać można za wysoki dla przeciętnego rolnika, to gdy rozłożymy koszty te na 4 czy 5 gospodarzy, którzy przy Kółku rolniczem utworzą klub radjowy, okaże się, że na każdego z nich wypadnie kwota około 18 zł. na kupno słuchawek i na pokrycie części udziału we wspólnym aparacie oraz kilkanaście groszy opłaty miesięcznej.

Samorzutne powstanie małych punktów odbiorczych w okresie trwania Uniwersytetu wykazało, że sama myśl wiejskich klubów radjowych wytrzymała już próbę życia. Na tej właśnie drodze szukać należy możliwości rozwoju radja na wsi.

PRAKTYCZNE RADY.

Jak wygubić ślimaki polne. Jeżeli ślimaki wystąpią w większej ilości, mogą poważnie zaszkodzić oziminom.

Walka ze ślimakami polega na użyciu wapna palonego, niegaszonego (nielasowanego), które gubi ślimaka bardzo radykalnie. Jeżeli ślimaki przedostają się z jednego pola, naprzykład z pola, na którem jest koniczyna na pole z oziminą (zwłaszcza żyto ozime), to przeszkodzić wędrówce można poniekąd przez obsypywanie pasa roli wapnem.

Z innych środków stosowano z pożytkiem kainit i tomasynę.

KRONIKA.

Wymiana banknotów 100-złotowych. Obecnie kursujące banknoty 100 złotowe będą wycofane. Rozpisany już został konkurs na wizerunki klisz do nowych banknotów, które będą drukowane na specjalnym papierze włóknistym w rodzaju dolarów amerykańskich, które nie ulegają łatwo zniszczeniu. Nowe banknoty zostaną wypuszczone prawdopodobnie w sierpniu, poczem obecne zostaną wycofane.

Śmiertelna bójka. W Lubertowie koło Krakowa doszło do sprzeczki na tle osobistych porachunków pomiędzy 6 parobczakami tejże wsi; w czasie bójki zabity został Stefan Pudyś lat 27. Pudyś otrzymał kilka ran nożem w głowę i w okolicy żeber.

Z rozpaczy za rowerem. Nieraz małe głupstwo staje się powodem wielkiej tragedji. Bo takie małe głupstwo pociągnęło za sobą życie ludzkie. Oto w Dąbrowie koło Chrzanowa niejaki Jan Wypioł prosił swoich rodziców, aby mu kupili rower. Rodzice nie uwzględnili prośby syna, może nie mając pieniędzy, lub też uważając, iż syn ich bez roweru obejść się może. Chłopak zamiast poprosić po jakimś czasie o to samo, lub oszczędzać sobie pieniędze, aby za własny grosz rower sobie zakupić, tak się przejął tą odmową, iż, korzystając z nieobecności rodziców, którzy pojechali na jarmark, powiesił się w stajence na pasku.

Tragiczny spór o majątek. W Grębowie, pow. Tarnobrzeg, rozegrała się ponura tragedja rodzinna na tle sporu o majątek. Gospodarz tamtejszy, 31-letni Jan Gurz, bawiąc z żoną w domu jej braci, w czasie sprzeczki chwycił za karabin i począł strzelać. Pierwszym strzałem położył trupem swą żonę, 24 letnią Ewę, chorą na gruźlicę, a kilku następnemi zranił ciężko jej braci Adama i Władysława Sojów. Następnie wybiegł na podwórze i tu w oczach sąsiadów ostatnim nabojem pozbawił się życia.

Wykrycie mennicy. Od jakiegoś czasu policja lwowska zajęta była energicznem śledzeniem za fałszerzami puszczającymi w obieg fałszywe 5-złotówki. Po dłuższem dochodzeniu udało się policji wykryć pracownię tych falsyfikatów i ująć podrabiacza jak również pośredniczki w puszczaniu w obieg tych falsyfikatów.



Pracownia taka mieściła się we Lwowie przy ulicy Szpitalnej w mieszkaniu Wojciecha Rafalka, którego przyłapano w samą porę, bo właśnie w chwili ukazania się policji wlewał roczyn do przygotowanych foremek. Przybory skonfiskowano, a Rafalka oraz Magdalenę Humnicką i Marję Pikul, jako pośredniczki w puszczaniu w obieg falsyfikatów, aresztowano.

Szaleniec na ulicach Lwowa. W ubiegłą środę późnym wieczorem przywieziono koleją do Lwowa z Białobrzegu w powiecie łańcuckim umysłowo chorego 27-letniego Władysława Rupa celem umieszczenia go w zakładzie dla obłąkanych w Kulparkowie. Rup, skorzystawszy na dworcu we Lwowie z nieuwagi konwojujących go osób, zamieszał się w tłumie, a następnie wyrwawszy z rąk jednego z przechodniów grubą pałkę, wybiegł na ulicę i począł nią okładać wszystkich napotkanych po drodze. Powstała nieopisana panika. Zaalarmowano straż ogniową, policję i służbę kolejową. Z trudem udało się ubezwładnić furjata, który już tymczasem ciężej poturbował trzy osoby, a lżej kilkanaście.

Bandycki napad na spółdzielnię robotniczą. W Borysławiu dokonali bandyci niezwykle śmiałego napadu na spółdzielnię robotniczą przy ulicy Prezydenta Mościckiego w biały dzień. O godzinie 1 po południu, kiedy urzędnicy spółdzielni wyszli na obiad, zajechali samochodem przed dom spółdzielni i podrobionym kluczem dostali się do jej wnętrza, skąd skradli 1.600 złotych, poczem odjechali w niewiadomym kierunku. Natychmiastowy pościg policji na rowerach nie doprowadził do ujęcia bandytów.

Śmiertelna uczta robotników. Ofiarą fatalnej zabawy pijackiej padło czterech robotników polskich w belgijskiej miejscowości Souvret. Zabawiali się oni w rozmaitych szynkach i kawiarenkach, ale było im tego zamało. Zakupili więc w pobliskiej miejscowości dwa litry spirytusu do palenia i wrócili do domu, w którym mieszkali, aby sporządzić sobie z tego spirytusu specjalny trunek przez zmieszanie go z cukrem i wodą. Po sporządzeniu tego napoju wszyscy czterej raczyli się nim obficie, poczem pokładli się spać. W nocy jednak wszyscy czterej zachorowali, wijąc się w strasznych boleściach, dopóki wszyscy czterej nie zakończyli życia. Policja rozpoczęła natychmiast śledztwo. Z zeznań piątego robotnika, który był świadkiem tej śmiertelnej uczty, ale sam nie pił tego specjału, zmarli tak tragicznie twierdzili, że przegotowany spirytus do palenia nic nie szkodzi. Podpici jednak poprzednio może zapomnieli o przegotowaniu.

Potworna zbrodnia pod Poznaniem. W Rydzynie pod Poznaniem dokonano potwornej zbrodni, której ofiarą padły trzy osoby. Uderzeniami siekiery zostali zamordowani: gospodarz wiejski Kozica, jego żona i córka. Kto i dlaczego ich zamordował, dotychczas nie stwierdzono.

Wstrząsające sceny w płonącym domu. W Poznaniu przy ulicy Zagórze, Jan Dębiński, rybak i właściciel kamienicy rozgrzewał karbolineum w kuchni do zaprawienia sieci rybackich. W pewnej chwili karbolineum zapaliło się, a zaskoczony wypadkiem Dębiński chciał wynieść kocioł z 15 litrami gorejącego płynu na podwórze. Na schodach sieni upuścił jednak kocioł z powodu poparzenia rąk. Płonąca ciecz rozlała się na podłogę a ogień momentalnie objął sień i klatkę schodową, odcinając w ten sposób jedynie możliwą ucieczkę mieszkańcom. Lokatorzy II i III piętra przerażeni, chcieli wyskakiwać z mieszkań przez okna. Jedna z ratujących się kobiet wybiegła na parapet okna i przeszła po gzymsie szerokości 15 cm. do innego mieszkania. Inna zaś mieszkanka tego domu, wziąwszy dziecko na ręce, usiłowała wybiec na schody. W chwili otwierania drzwi buchnęły płomienie i poparzyły jej dotkliwie ręce. Pewnego lokatora, usiłującego wyskoczyć oknem, ocaliła w ostatniej chwili nadjeżdżająca straż pożarna.

Przemytnicy spirytusu. Z Częstochowy donoszą: Od dłuższego czasu dały się zauważyć w okolicznych wsiach i miasteczkach powiatu częstochowskiego, lublinieckiego i Tarnowskich Gór masowe wypadki oślepnięć. Wzywani do chorych lekarze stwierdzili, iż przyczyną tego objawu jest spożywanie przez ludność spirytusu drzewnego. Istotnie stwierdzonem zostało, iż przemytni-

cy posiadają tu liczne domy, w których urządzają rozsprzedaż spirytusu drzewnego, przemycanego z Niemiec w olbrzymich ilościach. Przemyt ten stanowi poważną konkurencję dla monopolu państwowego, gdyż litr spirytusu drzewnego kosztuje szmuglera zaledwie 1 złoty, co znów daje mu możność taniej sprzedaży włościanom. W związku z zastraszającemi masowemi zatruciami, częstochowska straż graniczna rozpoczęła energiczną walkę z tego rodzaju przemytem i pomimo niezwykłych trudności, jakie napotyka przy tej pracy — konfiskuje dziennie około 100 litrów spirytusu drzewnego, który odsyła do urzędu celnego, niszczącego ze swej strony ten artykuł. Onegdaj straż graniczna urządziła jedną z wielu zasadzek na spirytusowych przemytników i aresztowała 11 przemytników, obładowanych spirytusem.

Dwie żony i trzy narzeczone. Przed sądem w Sosnowcu stanął 31-letni Michał Firman, pociągnięty do odpowiedzialności za dwużeństwo. Firman żonaty od paru lat, ojciec dwojga dzieci, porzuciwszy rodzinę, przedstawiał się jako kawaler i ubiegał się o względy innych kobiet, obiecując się żenić. W październiku ub. roku Firman w cerkwi prawosławnej w Piotrkowie zawarł powtórnie związek małżeński z Alfredą Sadowską przedstawiając fałszywe dokumenty, że jest wdowcem. Na rozprawie zjawiły się obydwie jego żony w roli świadków, a nadto trzy narzeczone, którym Firman obiecywał małżeństwo. Sąd skazał Firmana na 6 miesięcy więzienia.

Pożar wsi. W zabudowaniach Jana Kwiatka we wsi Mokrzew koło Radomia wybuchł o 4 nad ranem pożar. Szalejąca wichura przeniosła ogień na sąsiednie zabudowania i zanim rozbudzeni z głębokiego snu mieszkańcy oprzytomnieli, cała wieś stanęła w morzu płomieni. Spłonęło doszczętnie 20 domów mieszkalnych, 20 stodół i 18 stajen. Cały inwentarz martwy padł pastwą straszliwego żywiołu, pozatem spaliło się 14 koni, 6 krów i 18 owiec, oraz trzoda chlewna. Poparzone zostało wiele bydła. Niezależnie od tego są i ofiary w ludziach. Mianowicie silnie poparzone zostały dwie dziewczyny: 10-letnia Janina Konieczna i 18-letnia Janina Kozioł, które w stanie ciężkim przewieziono do szpitala. Według tymczasowych obliczeń szkody wynoszą wiele dziesiątek tysięcy złotych. Co było powodem pożaru, narazie nie stwierdzono.

Żebrak rabusiem i zabójcą. W Łodzi przy ulicy Srebrzyńskiej do właścicielki domu 62 letniej Leokadji Kłódkowskiej przyniosła jedna z lokatorek czynsz miesięczny, w kwocie 32 zł. W tej chwili wszedł żebrak, któremu Kłódkowska dała 5 groszy. Ten jednak widząc większą kwotę na stole, pchnął silnie Kłódkowską, porwał pieniądze ze stołu i umknął. Kłódkowska, chora na serce, chwyciła się za pierś i padła trupem na miejscu.

Nowe stronnictwo. W Łodzi zostało utworzone nowe stronnictwo, a mianowicie stronnictwo narodowych socjalistów. Stronnictwo to stoi na gruncie ideologji Marszałka Piłsudskiego, ale reprezentuje skrajnie radykalne dążenia. W zebraniu założycielskiem wzięło udział 150 osób, przeważnie ze sfer robotniczych. Również w Warszawie ma być utworzone takiesamo stronnictwo.

Tajemnicze zamordowanie misjonarki. W marjawickim domu modlitwy w Warszawie znaleziono zwłoki jakiejś kobiety. Jak ustaliły władze policyjne, zamordowana została niejaka Etna Grall Mott, misjonarka ewangelicka, lat 40, przybyła ze Stanów Zjednoczonych. Ofiarę zbrodni znaleziono na podłodze, przyczem stwierdzono cały szereg ran, zadanych nożem na szyji, twarzy i głowie. Istnieje przypuszczenie, iż Grall-Mottowa zamordowana została na tle rabunkowem, ponieważ przywiozła ona ze sobą z Ameryki większą sumę pieniędzy.

Skutki wichury. Wichura, jaka przeszła nad Polską w pierwszych dniach kwietnia, poczyniła dużo szkód w powiatach piotrkowskim, łaskim, brzezińskim i radomszczańskim. Wicher poniszczył wiele sadów, pozrywał dachy z wielu budynków gospodarczych i mieszkalnych. We wsi Kozaczyzna huragan wywrócił dom mieszkalny Stanisława Andrzejczaka, przyczem uległo pokaleczeniu trzech członków jego rodziny.

Wielka wyprawa bandycka na wieś. We wsi Rusinówka w powiecie grodzieńskim zjawiło się o godzinie 2 w nocy 10 bandytów, przybyłych na dwóch wozach. Członkowie tej bandy włamali się do trzech gospodarzy i dokonali rabunku. Jeden z mieszkańców wsi zauważył rabusiów i wszczął alarm. Bandyci rzucili się do ucieczki, ostrzeliwując się gęsto. Policja rozpoczęła natychmiast energiczne poszukiwania.

Zbrodnia wyrodnego ojca. W Żukiewiczach pow. grodzieńskiego 50-letni Jerzy Podkalepko uderzył swego 26 letniego syna Stanisława w czasie snu siekierą w głowę i rozpłatał mu czaszkę. Ponieważ ranny dawał jeszcze słabe oznaki życia, wyrodny ojciec próbował po raz drugi uderzyć syna, lecz nadbiegli domownicy i przeszkodzili mu. Stanisław Podkalepko w stanie beznadziejnym przewieziony został do szpitala wojskowego do Grodna, synobójcę aresztowano i przekazano władzom sądowym. Jak się okazuje, powodem zbrodni były nieporozumienia, trwające od dłuższego czasu pomiędzy ojcem i synem. Ojciec jeszcze przed kilku tygodniami powziął zamiar zgładzenia syna i w tym celu przed świętami Wielkiejnocy kupił nową siekierę.

Straszne skutki wybuchu pocisku. Leon Tytus, mieszkaniec wsi Ubrodowice, w powiecie hrubieszowskim, orząc w polu, wyorał pocisk armatni. który przyniósł do domu i zaprosił do obejrzenia go swego sąsiada Pawła Josenko. Po powierzchownem obejrzeniu dwaj lekkomyślni wieśniacy, mimo iż obaj służyli w wojsku i zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie im zagrażało, postanowili pocisk rozebrać. W pracy tej pomagał im gorliwie dwunastoletni synek Tytusa, Semen. Wskutek nieostrożnego obchodzenia się pocisk upadł na ziemię. Rozległ się ogłuszający huk. Część domu została wyrzucona w powietrze. Wskutek wybuchu wyleciały również szyby w sąsiednich chałupach. Całe urządzenie mieszkania Tytusa zostało doszczętnie zniszczone. Gdy sąsiedzi przybyli z pomocą, znaleźli w kupie gruzów leżących w kałuży krwi Tytusa, jego syna, oraz sąsiada. Dzięki natychmiastowej pomocy udało się ich przywrócić do życia, ale stan ich jest bardzo ciężki.

Tragedja uciekinierów z Rosji. Są i u nas, niestety, ludzie, którzy dla marnych zysków bałamucą innych, wpajając w nich zasady komunistyczne. Głosicieli tych haseł wywrotowych można jeszcze zrozumieć, gdyż czynią oni to dla zdobycia pieniędzy, ale nie można sobie wytłomaczyć, dlaczego znajdują się jeszcze ludzie, którzy im wierzą i idą za nimi. Przecież czytają i słyszą codziennie, jaki to raj panuje w Rosji, gdzie przy władzy są właśnie komuniści. Niema dnia, aby z tego „raju bolszewickiego" nie przedzierało się przez granicę państw sąsiednich kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt osób z narażeniem życia, aby tylko dostać się tam, gdzie będą mogli pędzić życie spokojne. I oto znów koło Suchodolszczyzny przez granicę polską chciało onegdaj ujść czworo włościan i student Iwan Malkow z Płoszczenic. Dwóch włościan i Malkow zdołali przejść, ale matka jego i brat padli tuż przy granicy od kul bolszewickich. Matka Malkowa, mimo odniesionej rany, doczołgała się jeszcze do słupa granicznego i wyzionęła ducha już na polskiej ziemi. Jedni uciekają z tego „raju bolszewickiego", a drudzy, — głupcy, tęsknią do niego.

Groźne zaburzenia w Czechach. W kilku miejscowościach w północnych Czechach przyszło w ubiegłym tygodniu do groźnych zaburzeń na tle strajkowem. W Oberleutensdorfie doszło do starcia między kilkutysięcznym tłumem strajkujących a żandarmerją, która musiała wezwać wojsko na pomoc. Kiedy przybył oddział kawalerji, robotnicy zarzucili drogę kamieniami i kołkami, wobec czego kawalerja nie mogła przejechać. Jeden żołnierz odniósł ciężką ranę od kamienia, trzech żandarmów lekkie. Ostatecznie żandarmerja z bagnetem w ręku musiała zdobyć barykady. W Brüx, kiedy strajkujący robotnicy w zwartym pochodzie usiłowali dotrzeć na rynek i odbyć tam zgromadzenie, zastąpiła im drogę żandarmerja. Kiedy tłum przybrał groźną postawę, komendant oddziału dał rozkaz strzelania. Padła salwa, której skutki były straszne. Wielka liczba demonstrantów padła na bruk, a trzej z nich ponieśli śmierć na miejscu, szereg innych zostało ciężko rannych. Również w Komotowie żandarmerja z bronią w ręku wystąpiła przeciw demonstrującym górnikom, robiąc użytek z broni palnej. Pięć osób zostało ciężko rannych. Ogółem z żandarmerji zostało 45 osób rannych.

Powódź w Rumunji. Wiosenna powódź w Rumunji przybrała wprost katastrofalne rozmiary. Władze sowieckie wysadziły w powietrze tamy, wstrzymujące wodę od terytorjum rumuńskiego na Dniestrze, wobec czego olbrzymie masy wód wdarły się na terytorjum rumuńskie, zalewając 23 miejscowości i powodując zniszczenie przeszło 3.000 domów. Utonęło 11 osób cywilnych, nadto w czasie akcji ratunkowej zginęło 11 żołnierzy.

Wybuch wulkanu. Na wyspie Suiwoi, znajdującej się na morzu Kaspijskiem, wybuchł wulkan, który wyrządził wielkie spustoszenia. 51 osób postradało życie, a wiele doznało bolesnego poparzenia od wybuchającej lawy.

Powrót zimy we Włoszech. W północnych Włoszech zapanowała znowu zima. W ubiegłym tygodniu spadł tam gęsty śnieg; w Dolomitach szalała przez kilka godzin zawieja śnieżna, co o tej porze jest zjawiskiem wprost niebywałem. Temperatura przez cały ubiegły tydzień utrzymywała się w pobliżu zera.

Rozruchy w Hiszpanji. Jak donoszą z miasta Avila w Hiszpanji, wydarzyły się tam poważne rozruchy z powodu podwyższenia cen chleba. Rozgoryczeni robotnicy zarzucili kamieniami gwardję obywatelską, która usiłowała oczyścić targ z tłumów strajkujących. W miejscowości Ferrol olbrzymie tłumy kobiet wpadły do szkół i zmusiły nauczycieli do zawieszenia krzyżów w salach szkolnych. Krzyże te zostały usunięte w niektórych szkołach po ogłoszeniu Hiszpanji republiką.

Śnieżyce w Anglji. Całą Anglję dotknęły w ubiegłym tygodniu niebywałe śnieżyce, wskutek których temperatura obniżyła się do stanu, jaki tam panuje zwykle w lutym. Olbrzymi grad spadł w okolicy Londynu oraz Lympne. Szereg okrętów zostało uszkodzonych przez rozhukane morze.

Dni grozy w Południowej Ameryce. Z Santiago de Chile w Południowej Ameryce nadeszły we środę 13 b. m. alarmujące wiadomości o niebywałej katastrofie, jaka nawiedziła miasta i wsie w Andach. Zupełnie niespodziewanie wznowiły swą czynność trzy wielkie wulkany: Descabezado, Las Vegeas i Tinguiricia, wyrzucając z kraterów olbrzymie ilości kamieni, popiołu i gazów. Huki podziemne słyszane były nawet w odległem Santiago. Wybuchom towarzyszyły ustawiczne wstrząsy ziemi. Następnie poczęły wybuchać w Andach liczne inne wulkany. Cała okolica pokryta jest grubą warstwą popiołu wulkanicznego. Chmura pyłu jest tak gęsta, że słońca nie widać. W wielu miastach musiano przez cały dzień świecić latarnie uliczne. Ludzie chodzili pod parasolami, inni przewiązywali sobie chusteczkami usta i nosy, aby nie wdychać popiołu. Połączenia telegraficzne z miejscowościami, leżącemi w pobliżu wulkanów, zostały przerwane. Istnieje obawa, że są tam bardzo poważne ofiary w ludziach. Rząd chilijski wysłał eskadrę samolotów w celach obserwacyjnych, która jednak powróciła, nic nie zdziaławszy z powodu gęstych chmur pyłu, zasłaniających ziemię. Samochody, a nawet pociągi nie mogły się posuwać w grząskim pyle. Z Buenos Aires donoszą, że również w górach Patagonji wznowił swą działalność jeden z wygasłych wulkanów. W argentyńskim departamencie St. Raphael warstwa popiołu, pochodząca z wulkanu Descabazado, dochodzi do 60 cm. Wskutek ciemności banki i sklepy są zamknięte. Nawet w Buenos Aires ludność cierpi wskutek przepełnienia powietrza pyłem wulkanicznym. Z kilku miast w prowincji Mendoza nadeszły do Buenos Aires alarmujące telegramy, domagające się natychmiastowego wysłania butli z tlenem gdyż wielu mieszkańców zatruło się gazami, pochodzącemi z wulkanów.

Katastrofa drapacza chmur. Z N. Jorku donoszą o straszliwej eksplozji, jaka wydarzyła się w mieście Columbus. 24 piętrowy drapacz chmur będący już na wykończeniu, którego koszt budowy wynosi 6 miljonów dolarów, wskutek wybuchu gazów runął. W chwili katastrofy zatrudnionych tam było 129 robotników, z tego 9 poniosło śmierć, 50 ciężkie rany, 70 zaś znajduje się jeszcze pod gruzami, tak, że niema nadziei uratowania ich. Przyczyna straszliwej eksplozji dotąd niewyjaśniona. Zachodzi możliwość spowodowania wybuchu przez zamach komunistycznych robotników.

Miljonerka w lodowej lepiance. Wiele czytało się o rozmaitych dziwactwach miljonerów amerykańskich, którzy posiadłszy w życiu wszystko to, co dać mogą pieniądze, szukają ujścia dla swych zachcianek w czem innem. Mrs. Briddle, dobrze znana w szerokich kołach towarzystwa w Filadelfji, miljonerka, postanowiła pewnego dnia, że spędzi zimę na Alasce i to w dodatku w samotności. Wybrała sobie zagubioną wśród lodów na dalekiej północy lepiankę i tu miała pozostać aż do wiosny. Nie wiadomo, co się stało ekscentrycznej damie, ale oto radjo schwytało przed paroma dniami jej rozpaczliwe S. O. S. Nękana głodem, czy chorobą, wzywa, by jak najprędzej pospieszono jej z pomocą. Gazety amerykańskie rozpisują się szeroko o tym fakcie. Jedna z nich donosi, że mrs. Briddle miała dość zapasów żywności na przeciąg wielu miesięcy. Zabrała też wiele książek i aparat radjowy. Widocznie tylko nerwy jej nie mogły wytrzymać tak przeraźliwej samotności mroźnej północy. W każdym razie samolot pocztowy, pełniący służbę w tamtą stronę, będzie usiłował wyratować odważną kobietę, o ile tylko zdoła wylądować wśród lodów i śniegu.

Samobójstwa Polaków w Ameryce. Jeden z dziennikarzy polskich w Ameryce oblicza, że w roku 1931 odebrało sobie życie w Stanach Zjednoczonych ogółem 267 Polaków, w tem 77 kobiet, 1 nieletnia dziewczynka i 1 chłopiec. Najwięcej takich samobójstw, bo aż 54, przypadło na kolonję polską w Chicago. Na ogólną liczbę 267 samobójców 85 odebrało sobie życie przez powieszenie, 53 przez zastrzelenie, 46 przez zatrucie gazem świetlnym, 24 przez utopienie się. Z porównania statystyki samobójstw Polaków w Ameryce i Polsce wynika, że na 3,300.000 Polaków na wychodźtwie odebrało sobie życie 267 osób, podczas gdy na 32 miljony Polaków w kraju popełniło samobójstwo tylko 1.100 osób. Na każdego samobójcę w Polsce przypada więc dwóch w Stanach Zjednoczonych.

RZECZY CIEKAWE.

Zabytki dawnej przeszłości.

Po całej Polsce rozsiane są jeszcze ruiny starożytnych zamków obronnych, z poza murów których bronili się nasi pradziadowie przed najazdem wroga.



Do takich należą ruiny Melsztyna, starożytnego zamku, znajdujące się na wysokim, lewym brzegu Dunajca, w pobliżu miasteczka Czchowa. Melsztyn był gniazdem rodzinnem rodu Melsztyńskich, z których odznaczył się Spytek z Melsztyna za Władysława Łokietka. Z synów jego Jaśko, kasztelan krakowski, był panem na Melsztynie, Rafał, kasztelan wiślicki, na Tarnowie. Syn Jaśka Spytek (II), wojewoda krakowski, przyczynił się wielce do małżeństwa Jadwigi z Jagiełłą, miał wielkie poważanie u króla i królowej, ale zginął już w 1399 roku w bitwie z Tatarami nad Worsklą. Brat jego Jasiek był ostatnim z tej gałęzi rodu Melsztyńskich, po których Melsztyn przeszedł na potomków Rafała: Tarnowskich. Zamek zgorzał podczas konfederacji barskiej w 1771 roku; dziś pozostały tylko po nim ruiny, jakie widzimy na naszym obrazku.

Zrzucanie skóry przez węże.

Jak człowiek zmienia ubranie, jak ssaki niektóre odnawiają swoje owłosienie, jak ptak się pierzy, podobnie i płazy zmieniają od czasu do czasu swoją powłokę łuskową na nową. Zjawisko to zaobserwować można przedewszystkiem także u wężów, które nieraz skórę swoją niby koszulę zrzucają z siebie w całości. Proces ten jest niejako pierwszym przejawem życiowym młodych wężów, a i zwierzęta starsze zmieniają skórę w ciągu roku kilkakrotnie, nasze krajowe odmiany podczas wiosny i lata mniej więcej co miesiąc, ogółem w roku około 6—7 razy. Przed rozpoczęciem się procesu pozbywania się skóry, węże objawiają dziwny niepokój, trą pyskiem o ziemię, aż skóra zacznie się łuszczyć. Powstały w ten sposób otwór odwija się coraz bardziej w tył tak, iż coraz więcej skóry się odwraca stroną wewnętrzną w górę. Ażeby przyspieszyć grubienie skóry, zwierzęta pełzają w tym czasie chętnie po gęstych trawach i zaroślach.

Proces zrzucania skóry, jak się zdaje, w wysokim stopniu absorbuje siły zwierząt, które po jego ukończeniu przez dłuższy czas są wyczerpane. Wężom w niewoli ułatwić można proces zrzucania skóry przez aplikowanie im gorących kąpieli.

Trujące drzewo.

Na wyspie Jawie rośnie drzewo po malajsku zwane „Bohon upas", które posiada niesłychanie silne własności trujące, tak, że cała okolica w promieniu 16 klm. jest jak gdyby zamarła. Nawet krzaki nie mogą tam żyć.

Tu wysyłają skazańców, by przynieśli z drzewa truciznę, używaną do zatruwania strzał, sprzedawaną również daleko poza obrębem wyspy. Trucizna przesiąka z pod kory drzewa, jest podobna do kamfory. Rzadko ktoś wraca stamtąd, to też posyłają tam skazanych na śmierć zbrodniarzy. Sędzia zapytuje skazańca: co woli, czy umrzeć z ręki kata, czy przyniesie trucizny z „Bohon upas". Przeważnie delikwent wybiera to ostatnie.

Następnie dają mu srebrną puszkę i pouczają, jak ma się zachowywać podczas niebezpiecznej wyprawy. Między innemi zalecają mu, by zbliżał się do drzewa przeciw wiatrowi i by się spieszył.

Kapłan naciąga winowajcy skórzaną czapkę z szklannemi okularami i skórzane rękawiczki.

Zaledwie co dziesiąty wraca ze zdobyczą, z innych jeno szkielety zostają, znacząc upiorną drogę.

Wedle podania malajskiego „Bohon upas" rośnie w okolicy, którą przed setkami lat zamieszkiwała ludność gorsza od mieszkańców Sodomy i Gomory. Gdy nawoływanie do poprawy obyczajów nie pomogło, Bóg wygubił grzeszników przy pomocy trującego drzewa.

Czesław Wośkowski.

Jak powstało u Arabów wielożeństwo.

Podanie arabskie tak mówi o powstaniu wielożestwa: „Razu pewnego przyszedł do proroka Mahometa biedny młodzieniec, błagając, aby mu dał radę, co ma czynić, gdyż nędza dokucza mu wielce.

— Ożeń się! — rzekł prorok.

Rada niewiele pomogła. Biedak znów przyszedł do proroka.

— Ożeń się! — odparł mu Matomet po raz drugi. Jeszcze dwa razy powtórzyły się odwiedziny biedaka, który za każdym razem pojmował nową małżonkę, otrzymując tą samą radę, tak że wkońcu miał cztery żony.

Na tej liczbie poprzestał, gdyż czwarta była kobietą mądrą i zapobiegliwą. Tak dobrze pokierowała interesami małżonka, że z biedaka wkrótce stał się człowiekiem bogatym, a prorok pozwolił swoim wyznawcom mieć po cztery żony legalne, czyniąc jedynie wyjątek dla kalifów, mogących posiadać tyle żon, ile serce zapragnie, a kiesa starczy.

Czesław Wośkowski.

Biali Indjanie.

W niedostępnych puszczach Panamy żyją Indjanie o białej cerze, złocistych włosach i piwnych oczach. Posiadają jaką taką kulturę i odznaczają się surowemi zasadami moralności. Mają po jednej żonie, do której odnoszą się z wielką czułością. Dzieci swoje kochają i obchodzą się z niemi łagodnie. Próżno uczeni głowią się nad ich pochodzeniem. Jedni twierdzą, iż są oni potomkami Wikingów, to jest dawnych mieszkańców Skandynawji, znanych z zuchwałych

wypraw żeglarskich, osiadłych tutaj. Inni zaś wysnuwają hipotezę, że ci biali Indjanie pochodzą w prostej linji od przedhistorycznych ludzi dawnego lądu Atlantydy.

Profesor Marsch opierając się na pokrewieństwie sanskrytu z językiem białych Indjan, dowodzi, iż ci musieli przybyć ze wspólnej kolebki ludów Indostanu.

Zresztą nic pewnego nie wiadomo.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów, prosimy o podawanie nam także dawnego adresu, pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy pierwotny adres mogli wykreślić, a nowy wpisać.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Szczepan Bednarz** w B.: Kwadrat magiczny i druga szarada dobre, natomiast Konikówka nie. Konik w szachach nie skacze bezpośrednio z jednego pola na drugie, ale przechodzi z pierwszego pola, przez drugie ukośnie, a stąd na trzecie poziomo lub pionowo. **Józek z Piątkowej:** Wierszyki do Ludki bardzo słabe. Na dowód przytaczamy pierwszą zwrotkę, która brzmi: „Zatrułaś me usta pożogą, pożarem związałaś ramiona, Ach czy też ja nie błądzę tą drogą, bo nie mogę dojść do tego grona!" Nie możemy się domyśleć, do jakiego grona Pan chce dojść. **Józef Andrzej Frasik** w Rz.: O ile tylko warunki techniczne pozwolą, wierszyk o rozwierzganym kwietniu zamieścimy. **Rom-Ort** w W.: Nie możemy odgadnąć, jaki cel Pan miał, pisząc: „Było to w noc majową..." Cały utwór zagmatwany, bez jakiejś myśli przewodniej. **Czesław Strzelczuk** w B.: Niestety, żadnego z wierszyków zamieścić nie możemy, gdyż są ciężkie i niewykończone. W wierszu oprócz rymu musi być i rytm, a tego w Pańskich wierszykach brak. A szkoda, bo myśl dobra. **Władysław Cudzich** w K.: Tym razem wiersze napuszyste, przenośnie nieprawdopodobne. Pisze Pan bowiem: „Upij mnie winem oczu" lub „Oblej mnie sokiem czułości". „Zabij mnie usty otwartemi, jak dzban" itp. Nie wydrukujemy. **Antoni Sordyl** w Z.: Z nadesłanych zagadek skorzystamy. **Eros** w K.: Wierszyk pt. „Miłość wiosenna" zaczyna się nieźle, ale kończy nie całkiem ładnie. Najgorsze te gody na polach wśród pszenicy. Nie wydrukujemy. **Antoni Poloczek** w P.: Z nadesłanych zagadek skorzystamy. **Stanisław J. Rabjan** w K.: Artykuł jeszcze trochę zadługi, ale może miejsce znajdzie się na zamieszczenie. **Walenty Pulchny** w G.: „Podróż na księżyc" zachowujemy; gdy kiedyś będzie miejsce, zamieścimy. Maciek studjował specjalnie znajomość kobiet, więc je zna znakomicie. Za uznanie dla naszej pracy serdecznie dziękujemy. **Józef Białek** w Rz.: Nadesłane zagadki zatrzymujemy do druku. **Jadwiga Nowacka** w J.: Takich zięciów jest więcej na świecie, więc niepotrzebnie się Pani tem przejmuje. Zamiast wdzięczności za wszystko, co Pani dla nich zrobiła, rzucają na Panią obelgami, ale to właśnie świadczy o nich samych jak najujemniej. **Izydor Mikrucki** w N.: O matki pszczół rasowych prosimy już teraz zwrócić się do p. Juljana Piwowarskiego w Miechowie, aby dla Pana zarezerwował. Węza wyrobu p. Radomskiego w Klewaniu jest bardzo dobra, a tańsza, niż gdzieindziej. **Ignacy Polowiecki** w M.: Za rozszerzanie „Roli" jesteśmy bardzo wdzięczni. Liczymy tylko na pomoc naszych przyjaciół, więc w tych ciężkich czasach każdy nowy prenumerator jest dla nas bardzo pożądany. **August Wasylecki** w T.: Z powodu humanitarnego celu dołączamy gratis, ale dla poczty po 5 groszy od załącznika prosimy nadesłać.

Zagadki do nagrody.

1. Uzupełnianka.

(Ułożył Antoni Poloczek z P.).

T	A							
	T	A						
		T	A					
			T	A				
				T	A			
					T	A		
						T	A	
							T	A

1. Rzecz tajna, skryta. — 2. Imię męskie. — 3. Puścić się w taniec. — 4. Część pisma świętego. — 5. Tłuszcz. — 6. Załatwiający prace pisemne. — 7. Pierwsza litera imienia oraz nazwisko z twórców Konstytucji 3-go maja. — 8. Gatunek gruszki.

2. Konikówka.

(Ułożył Ludwik Konior z K.).

prl	żeń	żeń	zeń	ckie
nabo	bła	po	stwa	stwa
mał	skio	stwa	nie	sty
stko	skie	sty	fran	to
mo	cuskie	wszy	wło	nie

Ruchem konika szachowego odczytać przykre dla Polski przysłowie.

3. Szarady.

I.

(Ułożył Fr. Ryszyński z O.).

Pół pierwsze trzecie cała
Ptactwo to domowe,
Pierwszych dużo zużywali
Gdy na drugie trzecie łowy odbywali
W puszczy w dawnych czasach.
Całość wszystkim nam potrzebna,
Dziś bez niej żyć nie można.
Zastanów się czytelniku
Gdyż rozwiązać łatwo można.

II.

(Ułożył Wojciech Lorenc z Ł.).

Postaw pierwszą z drugą razem
I przeczytaj wsp: k zarazem,
Oznaczy ci zbiór ludności,
Trzecią zgadniesz bez trudności,
Znaczy „tam" w obcym języku,
Gdy już zgadniesz czytelniku,
Pisz zaraz do „Roli" śmiało,
Może trafi tobie całość.

4. Bilet wizytowy.

(Ułożył K. Hobgarski z R.).

KAROL TAWIZUN.

Odczytać zawód tej osoby.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 29 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 15 „Roli": 1. Szarady: I. Paralityk, II. Palisady. 2. Konikówka: Człowiek nie do grzechu stworzony, ale do cnoty, nie do nienawiści, ale do miłości 3. Wirówka: W starym piecu djabeł pali. 4. Bilet wizytowy: Aktor filmowy.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Wojciech Rybak z Rz., Adam Galer z K., Wojciech Lorenc z L., Józef Białek z Rz., Walenty Pulchny z G., Antoni Poloczek z P., Piotr Nowak z Ż., Antoni Sordyl z Z., Władysław Cudzich z K., Teofil Burman z K., Jakób Dutka z P., Zdzisław Gawędzki z K., Franciszek Zaręba z M., Adam Bodzenta z Cz., Szczepan Bednarz z B.

Nagrody wylosowali pp.: Walenty Pulchny z G. i Wojciech Rybak z Rz.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W szkole.

Wizytator zwiedza szkołę i obecny jest na lekcji o narządach zmysłów. Tłumaczy dzieciom, że niewidomi za pomocą słuchu stwierdzają co się dzieje w ich otoczeniu. Aby dać przykład, każe dzieciom zamknąć oczy a następnie brząka kluczami, uderza linijką o ławkę i pyta za każdym razem, jaką spełnił czynność. Wreszcie głośno otwiera butelkę z atramentem.

— No a teraz, co zrobiłem, Janku?

— Teraz pan wizytator pocałował naszą panią!



Skutek.

— Wstydź się, Władku, jak mogłeś nieumyty przyjść do szkoły? — Idź zaraz do domu, brudasie! — łajał nauczyciel.

Następnego dnia cała klasa przyszła do szkoły nieumyta.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 19 kwietnia b. r.

Pszenica	30·75—31·25	Słoma długa	7·50—8·00
Żyto . .	28·50—28·75	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	26·00—26·50	Koniczyna nasienn. czer.	240·00—280·00
Jęczmień .	23·00—24·00	Mąka żytnia	44·50—45·50
Fasola biała	24·00—26·00	Mąka pszen.	46·00—47·00
Groch zwyk.	27·00—29·00	Otręby pszen.	17·00—00·00
Siano słodk.	12·00—14·00	Otręby żytnie	17·00—00·00
Łubin żółty	18·50—19·00	Mąka czerw.	19·00—20·00
Koniczpastew.	16·00—18·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 19 kwietnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałowniki	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł.
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizna	1·00 do 1·20 zł.	Nierogacizna białej wagi	od 1·40 do 1·50